



Jan Karon

WSPÓLNE ŻYCIE

Ślub

Daj im mądrość i oddanie w porządkowaniu spraw wspólnego życia, aby każde mogło być dla drugiego wsparciem w potrzebie, doradcą w zwątpieniu, pocieszeniem w smutku i towarzyszem w radości.

Amen.

Księga liturgii

Rozdział pierwszy

OŚWIADCZYNY

Ojciec Timothy Kavanagh stał przy kamiennym murku na wzgórzu nad Mitford, obserwując coraz bardziej intensywne barwy zachodzącego czerwcowego słońca.

Doszedł do wniosku, że nie jest to najgorszy sposób na uczczenie urodzin, chociaż miał cichą nadzieję, że spędzi je z Cynthią. Przez lata usiłował się oszukiwać, że jego urodziny znaczą bardzo niewiele albo nic, a więc jeśli nawet nie nadejdą żadne życzenia ani nie pojawi się żaden tort czy prezenty, to wszystko będzie w porządku.

Rzeczywiście, nie dostał kartki urodzinowej od Cynthii, mimo że przysłała ich cała sterta od parafian, i z pewnością nie obiecywała mu żadnego tortu ani świeczek, które jednoznacznie mówiłyby: „Oto jest, Timothy, dzień, w którym przyszedłeś na świat, i chociaż wiem, że takie sprawy nie mają dla ciebie żadnego znaczenia, i tak to uczcimy, ponieważ jesteś dla mnie ważny”. Z największym wstydem musiał przyznać, że czekał na to; prawdę mówiąc, czekał i miał nadzieję.

W trakcie swoich trzydziestu ośmiu lat posługi duszpasterskiej poznał smak cierpienia, chociaż nieomal zawsze z powodu cudzego smutku czy nieszczęścia. Teraz cierpiał sam, a powodem była jego własna, doprowadzająca go do szału niemożność otworzenia się przed nią, zrzucenia pancerza, żeby tak po prostu i całkowicie ją pokochać. Błagał Boga, aby zabrał jego tęsknotę i miłość, aby rzucił ją na wiatr jak popiół i żeby nic nie przeszkadzało mu w spełnieniu ślubów, które złożył wiele lat temu jako kandydat do święceń. Dlaczego teraz miałby w nim płonąć taki płomień? Miał sześćdziesiąt dwa lata, wiek miłości fizycznej miał już za sobą! A mimo to — równie żarliwie, jak się modlił, aby Bóg zabrał jego tęsknotę — pragnął, aby została zaspokojona.

Pamiętał te chwile, gdy się przed nim zamykała, chroniąc swe serce. Utrata jej poruszającej otwartości sprawiała, że czuł się zimny jak lód, jak gdyby ogromna chmura przesłoniła słońce.

A gdyby tak zamknęła się przed nim na dobre? Chodził niecierpliwie wzdłuż niskiego kamiennego murku, zapominając o zachodzącym nad doliną słońcu.

Nigdy nie rozumiał zbyt dobrze swoich uczuć do Cynthii, ale wiedział i rozumiał jedno — nie chciał balansować na krawędzi, bojąc się zrobić krok do przodu i z przerażeniem myśląc o odwrocie.

Poczuł ogromny ciężar w sercu. Zdarzało się to często, odkąd wprowadziła się do domku obok i za gościła w jego życiu. Ciężar ten jednak towarzyszył mu nie dlatego, że ją kochał, ale dlatego, że bał się pokochać ją do końca.

Być może ten ciężar nigdy nie zniknie; być może nie da się osiągnąć prawdziwego wyzwolenia w miłości. I z pewnością nie może jej poprosić, żeby go przyjęła takim, jaki jest obecnie — niedoskonały, pełen obaw, niepewny.

Osunął się na kolana przy kamiennym murku, spojrzał do góry i otworzył usta, żeby przemówić, ale zamiast tego wciągnął jedynie gwałtownie powietrze.

Ogromna fala szkarłatu i złota zalewała niebo niczym lawa, spływając strugami od zachodu po wschód. Oniemiały z podziwu przyglądał się, jak języki ognia pożerają błękitną mgłę firmamentu i zraszają niebiosą chwałą, która wstrząsała nim i poruszała go do żywego.

— Błagam! — szepnął.

I wtedy poczuł wzbierające uczucie ciepła, rodzaj płynnego wypełnienia, którego nigdy wcześniej nie doznał. Coś uniosło się w jego duszy, coś tak nagłego jak stadko przepiórek zrywające się z zarośli, a serce przyznało, nagle i ostatecznie, że jego miłość do niej nie może i nie będzie stłumiona. Wiedział narazie, że największe starania, najzarliwsze błaganie Boga nie pomogą mu już ani chwili dłużej podtrzymać tej desperackiej, bolesnej walki, którą wytoczył przeciwko miłości do niej.

W sposób, którego nie potrafił wytłumaczyć, i w ciągu zaledwie jednej chwili zrozumiał, że po raz pierwszy w życiu naprawdę żyje.

Wiedział również, że nie pragnie niczego więcej, jak być z nią u jej boku, i że po tych wszystkich zmarnowanych miesiącach nie może już sobie pozwolić na zmarnowanie ani jednej chwili. A jeśli czekał zbyt długo, oprzytomniał za późno?

Zerwał się na równe nogi, odczuwając taką ulgę, jakby właśnie zwalczył zbliżającą się chorobę. Potem, powodowany siłą, która na pewno pochodziła z zewnątrz, odkrył, że biegnie.

„Przychodzi czas — ostrzegał go kuzyn Walter — gdy nie ma już odwrotu”.

Czuł ruch własnych nóg, muskający go wiatr i pulsowanie w skroniach. Wydawało mu się, że mógłby implodować całą tę kotłującą się energię w jeden ostry wewnętrzny płomień, stały ogień, tysiąc dziękczynnych słów.

Ociekając potem, biegł wzdłuż Old Church Lane, a potem przez chłodną zieloną oazę parku Baxter. Jego ciało zdawało się tak lekkie, jak szybowiec niesiony na skrzydłach wiatru, chociaż serce przepelniała obawa. Mogła wyjechać, jak to już kiedyś zrobiła... i tym razem może już nigdy nie wrócić.

Ciemny zarys żywopłotu oddzielającego park od domu Cynthii i jego zdawał się bardzo odległy, niczym inny kraj, cel, którego może nigdy nie osiągnąć.

Gdy znalazł się bliżej, zobaczył, że w jej domu jest ciemno, jego dom natomiast jaśnieje światłem w każdym oknie, jak gdyby w środku działo się coś cudownego.

Przebiegł przez żywopłot i zobaczył ją, stojącą na ganku jego domu. Otworzyła mu drzwi i czekała, trzymając je szeroko otwarte, a światło w kuchni jaśniało za nią.

Stała tam, jakby dokładnie wiedziała, w której chwili wbiegł do parku, i wyczuwając emocje przepelniające jego serce, czuła, że musi wyjść mu na powitanie.

Wbiegł po schodach, ciężko oddychając, podczas gdy ona cofnęła się lekko i uśmiechnęła do niego.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! — zawołała.

— Kocham cię, Cynthia!

Zdawało się, że ta deklaracja wydobyła się z jego płuc na nocne powietrze jakby z własnej woli. Stał z otwartymi ustami, zadziwiony, a ona uniosła dłoń do policzka w sposób, który sprawił, że wyglądała, jakby wątpiła albo jakby ją to rozbawiło.

Czy odniosła wrażenie, że oszalał? Tak się właśnie czuł, rozpierała go energia, miał ochotę wspiąć się na dach, wyjąc i krzycząc — sześćdziesięciokilkuletni ksiądz, zakochany do szaleństwa w swojej sąsiadce.

Nie zastanawiał się nad konsekwencjami tej szalonej chwili zapomnienia; teraz albo nigdy.

Gdy wycofała się do kuchni, poszedł za nią. Zobaczył tort na stole, przy którym jadał śniadanie, oraz kartkę opartą o wazon kwiatów, po czym opadł na jedno kolano obok stołu i ujął jej dłonie.

— Czy zgodzisz się? — zapytał łamiącym się głosem, spoglądając na nią.

— Zgodzę się na co, najdroższy?

— No wiesz.

— Nie, nie wiem.

Wiedział, że wie. Dlaczego nie chciała mu w tym pomóc? Z największą przyjemnością ukląkłby również na drugim kolanie, gdyby tylko mu pomogła.

I dlaczego kuczał tutaj, na linoleum, pocąc się jak zawodowy bokser, skoro mógł się ubrać w swój najlepszy garnitur i zrobić to w salonie albo w ogrodzie Lord's Chapel wśród francuskich róż?

Usiłował wstać, żeby pobiec na górę, wziąć prysznic, umyć zęby, ubrać się i zrobić to jak należy, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa i nie był w stanie się ruszyć. Poczul się jak przytwierdzony do linoleum, klęcząc na jednym kolanie, nieruchomo jak posąg.

— Pośpiesz się, Timothy! — zachęciła go szeptem.

— Czy zgodzisz się zostać moją żoną?

— Tak! Tak! Po tysiakkroć!

Kiedy pomogła mu wstać, zaczął ją całować, a ona odwzajemniła jego pocałunek. Odsunęła się i spojrzała na niego jakby z podziwem. Zupełnie osłupiał, widząc, jak promienieje.

— Myślałam, że nigdy mnie nie poprosisz — powiedziała.

Stało się. Znalazł się za kolczastym drutem.

Zanurzył twarz w jej włosach, przytulił ją mocno i rozplakał się jak dziecko.

Targały nim uczucia szczęścia i niepewności, jakby ktoś owinął mu mózg watą. Nie umiał już logicznie myśleć ani uporządkować chronologicznie myśli; odczuwał powagę czynu, którego dokonał, i wiedział, że powinien to w jakiś sposób kontynuować, chociaż nie był pewien jak.

Siedzieli na jego sofie, rozmawiając do trzeciej nad ranem, ale ani razu nie wspomnieli o tym, co będą robić dzisiaj. Rozmawiali jedynie o tym, co czują i jak bezgranicznie są szczęśliwi i wdzięczni, że spotkało ich takie zadziwiające błogosławieństwo, jakby dziki ptak zleciał wprost na ich wyciągnięte dłonie.

— Abyś był mój na zawsze — szepnęła.

— Póki śmierć nas nie rozłączy — odparł, muskając nosem jej włosy.

— I żadnego organizowania kościelnych kolacji ani prasowania obrusów na festyny, i absolutnie nic wspólnego z doroczną wentą dobroczynną.

— Dobrze! — zgodził się.

— Nigdy! — powtórzyła.

Nie miał żadnego postanowienia ani wymogu, które mógłby jej narzucić; był jak galareta, jak ugotowane spaghetti; wciągnął go wartki nurt wielkiego tsunami miłości, któremu tak długo się opierał.

Potem modlili się razem, aż w końcu zasnęli na sofie — ona oparła mu głowę na ramieniu, a on położył swoją na jej, podpórki na książki. Kiedy obudzili się o piątej, podeszli do tylnych drzwi. Tam Cynthia pocałowała go i ruszyła szybkim krokiem przez żywopłot, mając żarliwą nadzieję, że nikt jej nie zobaczy.

Wbiegł po schodach do swojej sypialni, z wigorem, który go zadziwił, szepcząc na głos cytat z Wordswortha:

— „Jakim błogosławieństwem żyć było o tym świecie, Być młodym jednak jeszcze bardziej niebiańskim przeżyciem!”

Błogosławieństwem, o tak, jakby nagle stał się lżejszy niż powietrze, jakby w końcu ktoś odsunął głaz z grobu. Wydawało mu się, że zaraz wyskoczy z siebie jak diabełek z pudełka. Czy któreś z tych uczuć było mu znajome, czy kiedykolwiek czuł coś podobnego? Nigdy! Nic w jego domniemanej miłości do Peggy Cramer, wiele lat temu, nie przygotowało go na to, co przeżywał teraz.

Letnia mżawka towarzyszyła mu, gdy o dziewiątej pośpieszył do kancelarii, z Barnabą na czerwonej smyczy.

Pomyślał, że powinien powiedzieć Emmie, która służyła mu wiernie przez blisko trzynaście lat. I Puny, najlepszej pomocy domowej, o jakiej może marzyć mężczyzna. Puny na pewno chciałaby wiedzieć.

Widział je obydwie oczyma wyobraźni: Emmę krzywiącą się i marszczącą czoło, a następnie ścisnącą go za ramię w geście aprobaty, i Puny — będzie podskakiwać z radości i wiwatować, i krzyzczeć, a po jej piegowatych policzkach popłyną ogromne łzy. A potem pójdzie i od razu upiecze chleb kukurydziany, z którego jemu — ze względu na przeklętą cukrzycę — będzie wolno zjeść tylko jeden nie posmarowany masłem, choć duży, kawałek.

Aha! I oczywiście panna Sadie! Czyż jej oczy nie rozblęsną na tę wiadomość i nie będzie go ścisnąć w nieskończoność?

I czyż Louella nie upiecze ciasta kokosowego albo tarty owocowej, i czyż nie urządzi sobie przyjęcia na miejscu, w kuchni w Fernbank?

Z drugiej strony, czy Cynthia nie powinna być razem z nim, gdy będzie się dzielił tą wiadomością z innymi?

Westchnął. Jego zawód w dużej mierze dotyczył kroków milowych w życiu wielu ludzi, włącznie z uczestnictwem od czasu do czasu w zaręczynach, a mimo to wydawało się, że zapomniał o wszystkim, co kiedykolwiek wiedział — jeśli w istocie kiedykolwiek wiedział cokolwiek.

Poza tym nie był pewien, czy czuje się na siłach, aby znosić wiwaty, krzyki, poklepywanie po ramieniu i wszystko, co zazwyczaj towarzyszy takim nowinom.

Jest też oczywiście J.C. I Mule. I Percy.

Dobry Boże, bał się spotkania z nimi jak bólu zęba. Całe to poklepywanie po plecach i mruganie, i chichoty, i wiadomość rozprzestrzeniająca się po barze Grill niczym pożar, wydostająca się poza drzwi, na Main Street, okrążająca pomnik i wędrująca aż do stacji benzynowej Exxon Lew Boyda...

Poczuł, że żołądek podskakuje mu, jak wtedy, gdy znajdował się w startującym bądź lądującym samolocie.

Gdyby Barnaba nie szarpnął gwałtownie smyczą, wszedłby prosto na słup telefoniczny przed Oksfordzkimi Antykami.

Koniec końców, doszedł do wniosku, że pierwszy powinien poznać nowinę Dooley Barlowe. Bez wątplenia powinni powiedzieć Dooleyowi razem. Był szczerze zadowolony, że chłopiec spędził tę noc u Tommy'ego i nie widział go, jak wbiega przez tylne drzwi i upada na kolano. Niezbyt przyjemny widok, nie miał co do tego wątpliwości.

Widział twarz swojego trzynastoletniego podopiecznego, gdy usłyszy tę wiadomość. Chłopiec zarumieni się ze wstydu bądź z ulgi, albo z jednego i drugiego, a potem roześmieje się jak hiena. Bardzo możliwe, że wykrzyknie: „Świetnie!”, a potem pobiegnie na górę z radości, której nie będzie śmiał swobodnie okazać.

Mimo to powiedzenie komukolwiek wydawało się pochopne i przedwczesne. To była sprawa pomiędzy nim a Cynthią to był ich sekret. W jakiś sposób to cudowne, że nadal nie wie o nim nikt inny na świecie.

Na rogu zatrzymał się przy cykucie, żeby Barnaba mógł podnieść nogę, i nagle poczuł, że nie potrafi zachować tego sekretu już ani chwili dłużej, musi się nim z kimś podzielić.

— Pośpiesz się — polecił psu. — Muszę ci coś powiedzieć.

Barnaba zrobił, jak mu polecono, i gdy przeszli przez ulicę, pastor Lord's Chapel zatrzymał się przed swoją kancelarią i powiedział ścisłym głosem:

— Właśnie postanowiłem... to znaczy, Cynthia i ja zamierzamy się...

Poczuł łaskotanie w gardle. Zakaszłał. Przejechał samochód, a on ponownie próbował podzielić się ze swoim psem dobrą nowiną.

Ale nie mógł.

Nie był w stanie wypowiedzieć słowa zaczynającego się na literę „p”, bez względu na to, jak bardzo się starał.

Gdy otworzył drzwi do kancelarii, z absolutną jasnością zdał sobie sprawę, od czego powinien zacząć.

Jego biskup. Oczywiście. Jak mógł zapomnieć, że ma biskupa Stuarta Cullena, dla którego to, co zamierza zrobić, będzie niezmiernie ważne?

Ale, oczywiście, nie uda mu się o tym powiedzieć Stuartowi dzisiaj rano, ponieważ Emma Newland będzie siedzieć przy swoim biurku, tuż obok niego.

Przywitał swoją wieloletnią sekretarkę na pół etatu, podczas gdy Barnaba opadł z westchnieniem na swój chodnik w kącie.

Unikając za wszelką cenę kontaktu wzrokowego, usiadł natychmiast i zaczął pisać coś, sam nie wiedział co, w swoim notesie z kazaniem.

Emma przyjrzała mu się znad swoich szkieł połówkowych.

Oparł lewy łokieć na biurku, wspierając głowę na dłoni, jakby był głęboko zatopiony w myślach. Czuł na sobie jej gorące spojrzenie niczym spowijającą go opończę.

Do licha, nie mógł znieść tego wzroku. Wydawało mu się, że bada mu migdałki albo sprawdza, czy jego okrężnica wymaga operacji.

— Na litość boską — zawołał, obracając się na swoim skrzypiącym krześle w stronę półek z książkami.

— Na twoim miejscu nie mieszałabym do tego Boga — odparła, prychnając.

— A co to ma znaczyć?

— Że nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Bóg chciał mieć z tobą cokolwiek wspólnego dzisiaj rano.

Kościelne sekretarki bywały zwalniane za dużo mniejsze przewinienia, myślał, zgrzytając zębami. Nagle zaczynała się dziać ta przedziwna rzecz, która zdarzała się czasami — kancelaria gwałtownie i niewyobrażalnie malała; stawała się, szczerze mówiąc, wielkości pudełka.

Zerwał się na nogi i wyprostował na wpół za biurkiem, usiłując zaczerpnąć głęboki oddech.

— Masz zbyt ciasną koloratkę — stwierdziła.

— Skąd wiesz?

— Jesteś czerwony jak burak.

— Możliwe, że mam atak serca! — warknął.

— Mówię ci, że to koloratka. Czy masz na sobie tę zapinaną na rzepy?

— Tak.

— Poluzuj ją troszkę.

Do licha, miała rację. Zdał sobie sprawę, że nieomal się dusi. Poprawił zapięcie, z najwyższą pogardą dla siebie i wszystkich innych.

Co się stało z łagodnym, oczyszczonym sercem, które Bóg dał mu zaledwie wczoraj wieczorem? Gdzie uciekł lekki jak piórko nastrój dzisiejszego ranka? Dlaczego zrzędził i narzekał, kiedy powinien podskakiwać z radości i krzyczeć?

Barnaba ziewnął i przewrócił się na bok.

— Żenię się! — wyrzucił z siebie niespodziewanie.

Potem usiadł sztywno na krześle.

Nigdy nie będzie w stanie wytłumaczyć tajemnic towarzyszących miłości, z których tylko jedna dotarła do niego, gdy wyznał swoją nowinę Emmie.

Mimowolne wypowiedzenie tych dwóch zadziwiających słów sprawiło, że jego zamarznięta arktyczna tundra przeobraziła się w ciepłe tropikalne jezioro. Coś w nim faktycznie stopniało.

W ciągu kilku sekund zamienił się w galaretę. Albo, jeśli to możliwe, w budyń. Potem głupi uśmiech wypłynął mu na usta i najwyraźniej miał pozostać tam przez resztę życia.

Gdy Emma wyszła na pocztę, przyrzekając, że nie piśnie nikomu ani słowa, pomodlił się przy biurku, poszedł do toalety i wykonał pomiar glukometrem. Potem dosłownie zataczając się, dotarł do telefonu, żeby zadzwonić do swojego biskupa.

Sekretarka Stuarta powiedziała, że biskup albo jest w toalecie, albo na spotkaniu, nie ma pewności gdzie, ale że sprawdzi i dopilnuje, żeby oddzwonił.

Rozczarowany opadł na krzesło.

Ale chwileczkę. Walter! Oczywiście, musi natychmiast zadzwonić do Waltera i Katherine.

Imiona tych, którym jego szczęście szczególnie leży na sercu, przychodziły mu na myśl jedno po drugim, podobnie jak niektórym lista osób, do których wyślą kartki na Boże Narodzenie.

Ponieważ Cynthia nigdy nie miała okazji poznać Waltera — jego kuzyna i jedyne żyjącego krewnego, o którego istnieniu wiedział — przypuszczał, że obwieszczenie wielkiej nowiny w New Jersey spoczywa wyłącznie na jego barkach.

— Walter!

— Kuzynie! Jak to się mówi, kopa lat.

— Przy którym jesteś aparacie? — chciał wiedzieć pastor.

— W kuchni. Dlaczego pytasz?

— Czy jest w domu Katherine?

— Właśnie wpadła do domu prosto z domu opieki, uczy ich malować palcami. Co słyhać, stary przyjacielu?

— Powiedz jej, żeby odebrała telefon w salonie.

— Katherine! — krzyknął z całych sił Walter. — Odbierz telefon w salonie! Dzwoni duchowny!

— Jej, misiu, kochanie, czy to naprawdę ty?

Ujrzał w wyobraźni wysoką, chudą jak patyk Katherine, ułożoną w wygodnej pozycji na szezlongu w kratę, z bezprzewodowym telefonem w jednej ręce i nieodłączną szklaneczką piwa imbirowego w drugiej.

— Katherine, Walter — zaczął. — Czy na pewno siedzicie?

— Dobry Boże, co się stało? — zapytał Walter, wyraźnie zaniepokojony.

— Misiu... te badania, które miałeś sobie zrobić kilka tygodni temu... czy...?

— Dooley, czy to chodzi o Dooleya? — dopytywał Walter. — A może Barnabę? Wiemy, jak bardzo jest ci bliski...

— Żenię się — przerwał im.

No proszę! Dwa razy pod rząd i już nabierał wprawy.

Po drugiej stronie rozległa się ogłuszająca eksplozja krzyku, która byłaby w stanie wypełnić stadion Yankee. Odsunął słuchawkę od ucha, śmiejąc się po raz pierwszy tego ranka, podczas gdy Barnaba zerwał się gwałtownie z chodnika i stał, ujadając wściekle na zgiełk docierający z New Jersey.

Gdy Stuart nie oddzwonił po dwudziestu minutach, on zadzwonił jeszcze raz i został połączony z jego biurem.

— Stuart? Mówi Tim Kavanagh. Czy na pewno siedzisz? Był wyjątkowo zatroskany tym, żeby nikt nie upadł na podłogę, mdlejąc.

— Po raz pierwszy dzisiejszego dnia, szczerze mówiąc! Co słyhać?

— Pamiętasz tę kobietę, z którą kiedyś przyjechałem z wizytą do ciebie i Marthy? — Nie to chciał powiedzieć. — Gdy podarowaliśmy wam worek kukurydzy? Cynthia! Pamiętasz...

— Pamiętam bardzo dobrze, w istocie!

— No cóż, widzisz, chodzi o to... — Przełknął. Usłyszał, jak jego biskup tłumi śmiech.

— Tak, o co, Timothy?

— Chodzi o to... — W jednej chwili zmroził go lód, potem znowu zwyciężył budyń. — ...pobieramy się!

— Alleluja! — zawołał jego biskup. — Alleluja!

Nagle łyzy napłynęły mu do oczu. Byli przyjaciółmi z biskupem od czasów seminarium, od lat zwierzał mu się ze wszystkich ważnych spraw. A teraz przyszła pora na tę największą tajemnicę, tę najlepszą i najcudowniejszą nowinę.

— Martha będzie zachwycona! — zawołał Stuart, a jego głos zabrzmiał tak młodzieńczo, jakby nadal był wikariuszem. — Zaprosimy was na kolację, zaprosimy was na herbatę... wszystko zrobimy jak należy! Już od wieków nie słyszałem takiej dobrej wiadomości. Wielkie nieba, człowieku, myślałem, że nigdy nie zdobędziesz się na odwagę! Jak, u licha, się to stało?

— Dotarło do mnie, że... no cóż...

— Co do ciebie dotarło?

— Że nie chcę już bez niej żyć, że nie mogę.

— Strzał w dziesiątkę! — rzucił biskup.

— Ach... uklęknałem na jedno kolano, nie potrafiłem się powstrzymać.

— Powinieneś być uklęknać na obydwu, Timothy. Ona jest losem wygranym na loterii, klejnotem, bezcenną perłą! Ty spryciarzu, nie zasługujesz na nią!

— Amen!

Słowo to wypowiedział tak, jak wymawiali je dawniej baptyści, przez długie „a”, tak jak został nauczony w dzieciństwie.

— Cóż, w takim razie dzięki Ci, Panie. Czy zastanawialiście się już nad datą? — chciał wiedzieć Stuart.

— Myślmy o wrześniu. Wiem, że to dla ciebie bardzo pracowity miesiąc, ale...

— Niech sprawdzę, mam tu kalendarz. — Głębokie westchnienie, chwila zamyślenia. — Niestety, po dwakroć niestety. — Stuart bębnił palcami po biurku. — Wielkie nieba, zupełnie o tym zapomniałem. Hmm. Ach... — Nucenie, mimowolne i niemelodyjne. — Nie, z pewnością nie wtedy.

Jeśli Stuart nie będzie mógł dać im ślubu, to będą musieli poradzić sobie inaczej, z pewnością nie będą czekać do października...

— O tak, posłuchaj tylko! Mam wolny siódmy września, co ty na to? A jeśli nie, to będę mógł was wcisnąć...

— Raczej wolałbym, żebyś nie musiał nas nigdzie wciskać — zauważył pastor.

— Oczywiście! Czy w takim razie siódmy będzie ci pasował?

— Chętnie zgodzimy się na każdy wolny termin.

— W takim razie załatwione!

— Doskonale! — zawołał pastor.

— A teraz — przerwał Stuart — odłóż słuchawkę, żebyśmy mogli zadzwonić do Marthy.

Rozdział drugi

GRILL

— Czy będziecie mieć dzieci? — zapytał Dooley.

— Nie, jeśli to będzie ode mnie zależało — odparła Cynthia.

Śledząc uważnie wyraz twarzy Dooleya, ojciec Tim był pewien, że ich wiadomość była trafiona, ale chciał, aby chłopiec wyraźnie to potwierdził. Oparł rękę na ramieniu Dooleya.

— Więc, przyjacielu, co myślisz o tym wszystkim?

— Bomba! — odparł Dooley.

Alleluja! Dooleya Barlowe'a nie oszczędzały w życiu najróżniejsze huragany do chwili, gdy zamieszkał w domu pastora dwa lata temu. Porzucony przez ojca i oddany przez matkę pod opiekę schorowanego dziadka, chłopiec w swoim życiu doświadczał jedynie dramatycznych wydarzeń i ciągłej zmiany.

— Nic się nie zmieni — obiecał pastor. — Będziesz mieszkał w tym samym pokoju, wszystko będzie tak jak do tej pory. Jedyna różnica, to że Cynthia będzie mieszkać tu... a nie tam. — Wskazał na mały żółty domek obok.

— I tak wolę jej hamburgery od twoich.

— Tak, ale ona nie ma pojęcia, jak przyrządzać smażoną kiełbasę bolońską na twój ulubiony sposób. To mój mały sekret.

Uwielbiał widok tego rudowłosego, ciekawego świata chłopca, którego pokochał jak własnego syna, uwielbiał ten jakże rzadki wyraz zdziwienia i zachwytu jaśniejący w jego oczach. Dooley i Cynthia rozumieli się wyśmienicie od samego początku i akceptacja chłopca znaczyła dużo więcej niż aprobata jakiegokolwiek biskupa.

Nie chcąc marnować czasu na zdobywanie forów, Dooley obrzucił Cynthię swoim najbardziej błagalnym spojrzeniem.

— Ponieważ wyjeżdżam do tej starej szkoły już całkiem niedługo, na pewno pozwolisz mi nie kłaść się przed północą.

Ach, polityka!, pomyślał pastor, przyglądając się z radością tej parze, jest obecna wszędzie.

Zarówno Emma, jak i Dooley obiecali, że nie pisną nikomu ani słowa, ale szczerze mówiąc, są tylko ludźmi.

Zanim dojdzie do przecieku, choćby nawet niezamierzonego, wiadomość musi się pojawić w niedzielę w kościelnym biuletynie, aby tą drogą jego parafia mogła w godny sposób dowiedzieć się w kościele, a nie na ulicy. Ponieważ był piątek, uznał, że powinien powiedzieć towarzyszom z baru Grill, zanim dowiedzą się od parafian. Ale czy zachowają tę wiadomość dla siebie, zanim zostanie ogłoszona w Lord's Chapel?

Jest też panna Sadie. Z pewnością nie chciałyby przeczytać o tym w biuletynie.

Poszedł do domu o jedenastej, przebrał się pośpiesznie w swój strój do biegania i ruszył w górę Old Church Lane, z Barnabą na smyczy.

Nie tak dawno zbiegł z tego wzgórza, żeby zrobić to, co doprowadziło do tego, że teraz biegł w górę. Życie jest pełne tajemnic.

Sapiąc, skręcił w lewo, na Church Hill Road. Potem odbił w prawo i pobiegł w górę podjazdem, a nie przez sad, jak pospolity złodziej.

Panna Sadie i Louella siedziały na ganku, wachlując się i bujając na fotelach.

Za każdym razem, gdy zjawiał się na ganku w Fernbank, automatycznie ubywało mu lat. Przy tych dwóch starych przyjaciółkach czuł się tak, jakby miał dwanaście, a może nawet dziesięć lat. Posiadłość Fernbank była jego źródłem młodości.

Z mocno bijącym sercem usiadł na najwyższym stopniu i ciężko oddychał. Barnaba położył się obok niego, robiąc to samo.

— Ojcie — zauważyła panna Sadie — czy nie jest ojciec zdecydowanie za stary na tę całą zabawę z bieganiem?

— Żadną miarą. Prawdę powiedziawszy, robię to, żeby zachować młodość.

— Akurat! Zbyt dużo hałasu robi się wokół biegania pod górę i zbiegania w dół. W całym swoim życiu nie robiłam nic takiego, a zbliżam się już do dziewięćdziesiątki i jestem zdrowa jak ryba.

Louella kołysała się na fotelu.

— Zgadza się.

— Czy to lemoniada? — zapytał ojciec Tim, przyglądając się dzbankowi na wiklinowym stoliku.

— Louello, co się stało z naszymi dobrymi manierami? — zdziwiła się panna Sadie.

— Nie wiem, panno Sadie. Przypuszczam, że mieszkamy tak niewielu gości, że nie są nam już potrzebne.

Louella wrzuciła lód do szklanki i podała ją pani na Fernbank, która jak zawsze nie chcąc niczego zmarnować, napełniła szklankę do połowy.

Wstał i wziął od niej lemoniadę, zastanawiając się, co u licha będą myśleć o jego nowinie. Wyobrażał sobie, że będą bardzo szczęśliwe, ale teraz nie był tego pewien. Wypił lemoniadę dwoma łykami i stanął na jednej nodze, potem na drugiej.

— Jest ojciec jakiś zdenerwowany — zauważyła Louella. Znały go na wylot.

— Panno Sadie, Louello, czy siedzicie? Obydwie kobiety spojrzały na siebie zaskoczone. Oczywiście, że siedzą, jakże głupie jest jego pytanie, samo mu się wyrwało.

— To żart! — rzucił słabo.

— Ojcie, a może ojciec by usiadł? Proszę usiąść na tym fotelu obok mnie i trochę się pokołysać!

Zrobił, jak mu kazano.

— Tak, proszę pani. Ośmiolatek.

— Obie z Louellą lubimy się kołysać w takt, płacimy centa kary, jeśli zgubimy rytm.

— Kto prowadzi?

Panna Sadie spojrzała na niego, jakby spadł z księżyca.

— Słonko, panna Sadie zawsze prowadzi.

— No, to zaczynamy — rzuciła panna Sadie, radośnie i z nadzieją. Ponieważ stopami zaledwie sięgała podłogi, będzie to nie lada osiągnięcie.

Po trudnym starcie udało im się zsynchronizować, a następnie pracowali nad osiągnięciem punktu kulminacyjnego. Panna Sadie prezentowała zawodowe umiejętności...

Dobry Boże, przecież nie może przesiadywać całymi dniami na gankach niczym jakiś podrzędny księżyna, czeka na niego mnóstwo spraw, musi spotkać się z tyloma osobami, żeni się...

— Panno Sadie, Louello, mam wspaniałą nowinę.

Obydwie kobiety spojrzały na niego z zainteresowaniem, nie gubiąc rytmu.

— Żenię się! — zawołał, przekrzykując huk sześciu drewnianych biegunów uderzających o wiekowaną, białą sosnę.

Stopy panny Sadie opadły na podłogę, stopy Louelli opadły na podłogę. Ich fotele zatrzymały się gwałtownie. Jego nadal się kołysał.

— Z panną Cynthia? — chciała upewnić się Louella, która z reguły bardzo ostrożnie podchodziła do dobrych wiadomości.

— Właśnie z nią! — zawołał, czując ukłucie szczęścia i dumy.

Louella wznosiła okrzyki radości i klaskała w dłonie.

— Dzięki Ci, Jezu! Dzięki Ci, dzięki Ci, Jezu!

Panna Sadie dobytek chusteczki z rękawa sukni i przycisnęła ją do oczu.

— To szczęśliwy dzień, ojczu. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszymy się ojca szczęściem. Cynthia to najśłodsza kobieta pod słońcem, taka radosna i pełna optymizmu. Jest dokładnie tym, czego ojciec potrzebuje. Mam nadzieję, że zdążył ojciec podziękować Panu Bogu na kolanach!

Tak, w istocie.

Louella promieniała.

— Panno Sadie, ukroję nam trochę ciasta.

Gdy otwierała drzwi z siatką, żeby wejść do środka, odwróciła się i powiedziała:

— I proszę pamiętać, panno Sadie, że jest mi pani winna pięć dolarów!

Usłyszeli, jak wieloletnia towarzyszka życia panny Sadie posuwa ciężko stopami w pantoflach, odalając się korytarzem.

— Czy mogę zapytać, dlaczego jest pani winna Louelli pięć dolarów?

Spojrzała na niego, z największym trudem opanowując swoją wesołość.

— Ponieważ, ojczu, postawiłam pięć dolarów na to, że nie znajdzie ojciec dość odwagi, żeby posłuchać tę cudowną kobietę!

Wiedząc, jak cenne dla Sadie Baxter jest pięć dolarów, uśmiechnął się do swojej ulubionej parafianki i odpowiedział:

— Chyba mógłbym powiedzieć, że przykro mi, że pani przegrała.

Poklepała go czule po ramieniu.

— Prawdę powiedziawszy, ojczu, ojca dobra wiadomość mówi, że wszyscy wygraliśmy.

Napisał to na swojej starej i coraz trudniejszej w obsłudze, ręcznej maszynie do pisania marki Royal, i podał Emmie, która robi to, co zazwyczaj robiła, żeby zamieścić taką wiadomość w biuletynie:

niiniejszym iinformuję, że w zwiazek małżeński zstąpić Cynthia clarry Copperrsmiith z parrafiiii Kapliicy Naszego Pana i Zbawiciela i Ojciic Timothy andrew Kavanagh, pastor tej parrafiiii. jeśli ktokolwiek z Was znałby jakiś powód stojący na przeszkodzie temu świętemu małżeństwu, zobowiązany jest go wyjawić.

J.C. Hogan, wydawca „Mitford Muse”, cisnął swoją wypchaną teczkę na siedzenie w tylnym boksie i opadł na nie ciężko, sapiąc.

Mule Skinner, miejscowy pośrednik handlu nieruchomościami i długoletni klient baru Grill, wsunął się na miejsce obok ojca Tima.

— Więc co dzisiaj zamawiacie, nicponie? — zapytała Velma, pojawiając się ze swoim notesem na zamówienia.

Mule wyciągnął kciuk w stronę pastora.

— Ja jem to, co on.

— A co to takiego?

To nie był jej ulubiony boks, gdyż co najmniej dwóch z tych zapaleńców nigdy nie mogło się zdecydować.

— Kanapka z sałatką z kurczakiem — zamówił pastor, jak zawsze przygotowany — bez majonezu, z dodatkiem surówki z białej kapusty.

— Nie lubię surówki z białej kapusty — wyznał Mule.

— No to podaj mnie do sądu — odparł pastor.

— Pospiesz się. Chcesz to, co on, czy nie?

— Nie lubię surówki z białej kapusty — powtórzył Mule. — Wezmę to, co on, tylko bez surówki, a za to z majonezem.

Velma zasnurowała usta. Z pewnością nadszedł czas, żeby przejść na emeryturę. Bywały dni, że wolałaby raczej stanąć przy taśmie z puszkami w fabryce kiszzonej kapusty, niż przychodzić tutaj i mieć do czynienia z całym tym galimatiasem.

— Ja poproszę danie dnia — zdecydował się J.C., wycierając zroszone potem czoło kawałkiem papieru toaletowego.

— Jakie jest danie dnia? — dopytywał się Mule. — Nie wiedziałem, że jest danie dnia.

— Informacja jest przyklejona na drzwiach wejściowych — wyjaśniła zupełnie zdegowana Velma.

Nie mogła pojąć, jak Mule Skinner zdołał kiedykolwiek sprzedać komuś jakiś dom.

— Więc co to takiego? — zapytał ponownie Mule.

— Surowa wątroba żaby na puree z rzepy.

Pastor i wydawca roześmiali się na głos, pośrednik handlu nieruchomościami — nie.

— Nie lubię rzepy — wyjaśnił Mule. J.C. przewrócił oczami.

— Przynies mu tylko wątrobę żaby.

— Do licha, daj mi kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorami, i skończmy z tym.

— Mógłbyś postarać się powiedzieć: proszę — rzuciła ostro Velma, która musiała zwracać się do niektórych ludzi, jakby byli dziećmi.

— Proszę — dodał Mule przez zaciśnięte zęby.

— Na białym chlebie czy razowym? — dopytywała się Velma.

— Na razowym! — odparł ze zniecierpliwieniem Mule. — Nie, niech będzie biały.

— Tost czy zwykły?

— Ach...

— Przynies mu tost — doradził J.C.

Velma oddaliła się dumnym krokiem. Potem wróciła z dzbankiem kawy i napełniła ich filiżanki, mrużąc coś pod nosem.

— Co mówiła? — zapytał Mule.

— Wolałbyś tego nie wiedzieć — odparł ojciec Tim. Zamieszał kawę, chociaż nie było w niej nic do zamieszania.

Może nie powinien teraz nic mówić i poczekać, aż wszyscy zjedzą lunch i będą... w ogólnie lepszych nastrojach. Mule był wyraźnie nie w humorze, a J.C. siedział z nosem w gazecie z Wesley, sprawdzając, czy jacyś zamieszczający reklamy klienci „Muse” nie zdradzili go na rzecz „Telegramu”.

Miał nadzieję, że dyskusja, która się wywiąże, nie przerodzi się w bezmyślny wykład na temat jego zaawansowanego wieku.

Wiek nie miał z tym nic wspólnego, absolutnie nic. Nikt inny nawet nie próbował poruszyć tego tematu i nawet jeśli komuś przyszło to na myśl, wszyscy byli na tyle taktowni, żeby o tym nie wspominać.

Z drugiej jednak strony, dlaczego miałby czekać, żeby wyznać swój sekret? Może w ich przypadku nie ma czegoś takiego jak idealny moment.

— Mam do ogłoszenia wspomniała nowinę.

J.C. podniósł wzrok i wypił łyk kawy. Mule obrócił się w jego stronę i spojrzał na niego wyczekująco.

— Cynthia i ja zamierzamy się pobrać.

J.C. wypuścił kawę, co nie było przyjemnym widokiem. Mule przyłożył rękę do ucha.

— Co takiego? Czasami nie słyszę... J.C. wytarł serwetką przód koszuli.

— Żeni się.

— Nie krzycz, na litość boską! — rzucił gniewnie pastor. Równie dobrze mógł to ogłosić z megafonów jeżdżącej półciężarówki.

— Z kim? — dopytywał się Mule.

— A jak myślisz? — zapytał J.C., który wyraźnie mianował się oficjalnym rzecznikiem pastora.

— Z Cynthia — wyjaśnił ojciec Tim, ubolewając przed Bogiem, że w ogóle poruszył ten temat. — I muszę poprosić was o całkowitą dyskrecję. Macie nie mówić o tym żywej duszy do czasu, aż ukaże się biuletyn kościelny w niedzielę. Musicie mi dać słowo — nalegał.

— Chcesz, żebym przysiągł na Pismo Święte? — zapytał Mule.

— Nie, obiecacie mi po prostu. Nie chciałem, żebyście dowiedzieli się tego na ulicy, chciałem powiedzieć wam osobiście. Ale nie chcę też, żeby moja parafia dowiedziała się o tym na ulicy.

— Załatwione — obiecał J.C., podając mu dłoń nad stolikiem.

— Masz moje słowo — powtórzył Mule.

— Ty szczwany lisie. Żenisz się. — J.C. pokiwał głową. — A ja myślałem, że jesteś mądry.

— Ależ oczywiście, że jestem mądry. Spójrz tylko, z kim się żenię.

— To fakt — przyznał mu rację J.C. — Cynthia Coppersmith jest wspaniałą kobietą bardzo inteligentną i na dodatek bardzo ładną. Nie mam pojęcia, co ona w tobie widzi.

— Jesteś pewien? — upewniał się Mule. — Czy to załatwione?

— Załatwione. Ślub będzie we wrześniu. Mule podrapał się w głowę.

— Wydaje mi się, że jesteś na to odrobinę za... stary, zważywszy na to, że to pierwszy raz i tak dalej. Masz przecież sześćdziesiąt pięć lat...

— Sześćdziesiąt dwa — poprawił go pastor. — Sześćdziesiąt dwa.

J.C. wyglądał na zaszponionego.

— Ja nie ożeniłbym się nawet za milion dolców. Po opodatkowaniu.

— Muszę przyznać, że dodajecie mi otuchy. — Pastor usłyszał w swoim głosie prawdziwą gorycz.

— Chwileczkę — przerwał mu Mule. — Ależ oczywiście, że się cieszymy, jak mi życie miłe. Trochę mnie tylko zaskoczyłeś, to wszystko, przejdzie mi. Widzisz, przyzwyczałem się do ciebie takiego, jaki jesteś teraz...

— Zgadza się. Emerson powiedział, że to cholernie niewygodne, gdy trzeba przyzwyczać się do postrzegania kogoś w innym świetle. Ale to za ciebie, kolego.

Wydawca uniósł filiżankę w chwili, gdy Emma zjawiała się z ich lunchem.

Trzymała talerze w obydwu rękach i jeden w zagłębieniu ramienia.

— Zdejmij to z mojego ramienia — poleciała Mule'owi. Posłuchał jej.

Postawiła na stole dwa pozostałe talerze i oddaliła się dumnym krokiem.

— Nie zamawiałem tego — stwierdził Mule.

— To moje — rzucił J.C., wrywając mu talerz.

— Gdybym wiedział, że to zamawiasz, też bym zamówił. Stek po wiejsku to prawie moje najbardziej ulubione danie.

Mule spojrzał z żalem na kanapkę z ogórkiem konserwowym.

— Nie lubię ogórków konserwowych. Chcesz mojego ogórka? — zwrócił się do pastora, który nie czuł się tak ogólnie zawiedziony od czasu, gdy chór i organista zachorowali jednocześnie na grypę i cała kongregacja musiała śpiewać *a cappella*.

Wszystko rozmywało się w szalonym pędzie życia. Nie chciał stracić tej chwili tak szybko. Chciał się nią delectować, cieszyć, dziękować Panu.

Nałożył pizamę i zastanawiał się, co się dzieje.

Cieszyło go, że pragnie ją widywać przy każdej najmniejszej okazji; łaknął towarzystwa swojej sąsiadki, jakby ktoś zainstalował w nim w dniu jego urodzin magnes, który był przyciągany przez bardzo silny magnes w niej.

Jakże żałował, że magnes ten nie został zainstalowany wcześniej. Wolał nie myśleć o czasie, który zmarnował, usiłując się zdecydować. Ale nie, to nie jego umysł potrzebował tyle czasu, żeby się zdecydować, to jego serce. Jego serce zawsze się odsuwało, gdy zaczynał odczuwać radość z nią; za każdym razem, gdy przychodziła radość, on uciekał przepelniony strachem, że straci siebie.

Przypomniał sobie swój sen z czasu, gdy ona była w Nowym Jorku, gdy listy pomogły im stopić lód mroźnej zimy, która nie pozwalała im się spotkać. Śniło mu się, że płynie do niej po czymś, co przypomina błękitną lagunę, gdy nagle opuściły go siły i zaczął tonać, powoli, jakby przytłoczony ciężarem kamieni. Czuł, że zalewa go woda, i jednocześnie odczuwał ogromny, rozsadzający czaszkę ciężar głowy. Obudził się wtedy z krzykiem, z trudem łapiąc oddech.

Teraz przepelniało go to miękkie, budyniowe uczucie, które przeraziłoby większość ludzi nie potrafiących go rozpoznać — była to nieskrępowana miłość.

Ono również pozbawiało go tchu, ale dzięki łasce Boga nie wywoływało w nim paniki, nie pozbawiało sił i nie przerażało.

Nic dziwnego, że udzielał porad tak wielu mężczyznom, zanim zdecydowali się na przejście środkiem kościoła, by stanąć przed ołtarzem; prawdziwie tkliwa czułość w sercu i duszy do kobiety była zazwyczaj niepokojąco nieznanym uczuciem. Jak mężczyzna ma dzierżyć włócznię i tarczę, ocalić własne życie, skoro pada u jej stóp i rozpływa się jak budyń?

Wyłączył lampę i ukląkł przy łóżku, modląc się w półmroku, który zapadł w pokoju.

— Ojczy, błogosławimy Cię i dziękujemy Ci za ten cud, za to, że wybrałeś nas, żebyśmy go otrzymali. Spraw, abyśmy traktowali miłość, którą nam dałeś, z wdzięcznością i oddaniem, z radością i podziwem. Niechaj będzie rzeką żywej wody, która przyniesie największą radość i zachętę innym, Panie, ponieważ nie możemy zachować tego rzadkiego błogosławieństwa dla siebie, ale musimy dzielić się nim jak

winem. Chroń, Panie, Cynthię, obdarz ją odwagą na wszystko, co przed nami, i daj mi, proszę, wszystko, co niezbędne, abym ją kochał dobrze i niezmiennie, przez wszystkie dni naszego życia.

Było coś jeszcze, co powinien powiedzieć dzisiejszego wieczoru. Czekał w ciszy w nieruchomym, ciemnym pokoju, gdzie słychać było jedynie chrapanie jego psa.

Tak. Już wiedział. Stara i przykra rzecz, którą tak często ignorował i którą należało wypowiedzieć.

— Ojcie, nie ustawaj w otwieraniu mnie i obnażaniu, albowiem byłem samolubny i zamknięty, zawsze coś ukrywając, nawet przed Tobą. Wybacz mi...

Zegar tykał.

Zasłony uniosły się poruszone podmuchem wiatru.

— W imię Jezusa Chrystusa, naszego Pana. Amen.

Rozdział trzeci

FANFARA

Fala przyływowa, pochłaniający wszystko ogień, deszcz wulkaniczny — wszystko, czego się obawiał, w końcu nadeszło, i wszystko naraz.

Ludzie klepali go po plecach, całowali w policzek, poklepywali po ramieniu, potrząsali jego dłonią. Jeden z jego starszych parafian, odrobinę wyższy od niego, pogłaskał go po głowie; inny dał mu kubańskie cygaro, które Barnaba porwał z kuchennego stołu i zjadł w celofanie.

Życzliwi ludzie wykrzykiwali gratulacje z przeciwległej strony ulicy, dzwonili do niego nieustannie do domu i do kancelarii, i ogólnie rzecz biorąc, robili dużo zamieszania wokół faktu, że ma uczucia jak reszta śmiertelników.

Telefon Cynthii też przeżywał oblężenie. W ciągu mniej więcej trzech dni od chwili, gdy wiadomość stała się oficjalna, zamówiono razem pięć przyjęć z okazji ślubu, nie wspominając o uroczystym lunchu u Esther Cunningham i podwieczorku u Olivii Harper. Emma Newland planowała wydanie z pomocą mamy Harolda uroczystej kolacji, a Kobiety Kościoła Episkopalnego organizowały spotkanie w country clubie.

Ojca Tima zatrzymał na ulicy Mike Stovall, kierownik chóru z kościoła prezbiterian, i zaproponował przyłączenie szesnastu głosów podczas ceremonii ślubnej, co razem z głosami z Lord's Chapel podniosłoby końcową liczbę do trzydziestu siedmiu.

— Prawdziwy pakt kościelny! — cieszył się kierownik chóru. — I wiesz co? Dorzucimy trąbkę! Co ty na to?

(Nie wiedział, co począć z anglikanami z Wesley, którzy zaproponowali, że dorzucą chór z ręcznymi dzwoneczkami).

Czy zgodził się przyjąć tę śmieszłą ofertę Mike'a Stovalla? Chyba nie. Może wymamrotał coś w rodzaju: „To świetny pomysł”, jakim w istocie był, ale czy Mike uzna, że to oznacza jego zgodę? Trzydziestosiedmioosobowy chór zajmie tyle miejsca, że państwo młodzi nie będą w stanie przecisnąć się do ołtarza.

Kręciło mu się w głowie, ścisnęło go w żołądku, pociły mu się dłonie, czuł się jak... gwiazdor rockowy. Ta przyprawiająca o zawrót głowy myśl została jednak szybko stłumiona, gdy nagle był zmuszony biec do toalety w kancelarii, gdzie zwymiotował. Splukał trzy razy, usiłując zataić żalosne ponizienie, które wiązało się z całym tym odrażającym zdarzeniem.

— Chyba coś mi zaszkodziło — wyjaśnił Emmie, która zawsze rozpoznawała marną wymówkę.

Porwał książkę z półki i usiadł, odwracając się do niej plecami, nieruchomo jak głaz.

— Przepraszam — zwrócił się do Cynthii pewnego wieczoru u siebie w domu.

— Za co?

— Za... no wiesz... za całe to zamieszanie, cały ten... zgiełk!

— Ależ, najdroższy, ja to uwielbiam! Nigdy jeszcze żadna z moich osobistych decyzji nie wywołała takiej lawiny zdarzeń. To po prostu cudowne!

— Naprawdę?

— Czy nie widzisz, jak wszyscy są szczęśliwi z tego powodu? Chwilami mam wrażenie, że tak naprawdę to wcale nie jest dla nas, tylko dla nich!

— Nieprawda — zaprzeczył, ujmując jej dłoń. — To dla nas.

— W takim razie proszę, rozluźnij się i zacznij się tym cieszyć, kochanie. Czy nie mógłbyś?

Spojrzała na niego takim badawczym wzrokiem i z taką dojmującą nadzieją że przepełniło go uczucie wstydu z powodu obecnego przygnębienia i miłość do jej radosnej natury.

— Oczywiście. Masz rację. Spróbuję. Obiecuję.

— Proszę. Widzisz, to przytrafi się nam tylko raz.

No właśnie! Trafiła w samo sedno. Właśnie to było przyczyną jego niepokoju — zdarzenia toczyły się niezależnie, a oni byli ich biernymi uczestnikami; wolał mieć coś do powiedzenia, odrobinę... kontroli.

— Niech Bóg nad wszystkim czuwa — dodała, uśmiechając się.

Znowu nie mógł wyjść z podziwu, jak doskonale potrafi czytać w jego myślach.

— Przecież jak do tej pory radził sobie doskonale. Napięcie opuściło go jak uchodzące z przebitej opony powietrze.

— Ach... — westchnął z ulgą, siadając wygodniej na sofie i odpinając koloratkę.

Biskup zadzwonił do niego tuż po wschodzie słońca.

— Timothy! Wiem, że wcześniej wstajesz...

— Nawet jeśli nie było tak do tej pory, to rzeczywiście teraz tak.

— Martha i ja chcielibyśmy, żebyście skorzystali z naszej starej rodzinnej posiadłości w Maine, jest nad jeziorem, ma małą przystań i dwa kajaki, i absolutnie cudowny widok! Tak się z tego cieszymy, musicie się zgodzić, zaraz tam zadzwonimy i zrobimy dla was rezerwację...

Jego biskup szczebiotał jak uczennica.

— I poczekaj tylko, aż usłyszysz nury, Timothy! Fascynujące! Magiczne! Nasz rodzina spotyka się w tym domu od prawie pięćdziesięciu lat, mógłby służyć za scenerię do *On Golden Pond!* Uwierz mi, będziesz zachwycony, będziesz miał wrażenie, że umarłeś i poszedłeś prosto do nieba!

— Dziękuję, Stuart, pozwól, że oddzwonię. Szczerze mówiąc, nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, co chcemy zrobić.

— Nie myśl nawet o Cancún, Timothy! Ani razu nie pomyślał o Cancún.

— I wybij sobie z głowy południową Francję... Nic takiego nie przyszło mu do głowy.

— ...to teraz bardzo modne, południowa Francja, ale o wiele bardziej spodoba ci się w Maine! To właśnie tam spędziliśmy z Martha naszym miesiąc miodowy!

Zupełnie nie wiedział, co odpowiadać na wszystkie sypiące się jak lawina oferty. Ron Malcolm zaproponował mu skorzystanie z limuzyny tuż po ślubie, ale odmówił. Na co byłaby im potrzebna limuzyna, skoro od miejsca, gdzie spędzą noc poślubną dzieli ich zaledwie jedna i pół przecznicy?

Esther Bolick siedziała w pokoju tuż obok kuchni i oglądała niewidzącym wzrokiem *Koło fortuny*. Było ono jednak zaledwie migającym obrazem; nic ją nie obchodziło, jak brzmi pięciowyrazowa definicja słowa „show-biznes”.

Spojrzała z irytacją na Gene'a, który chrapał w fotelu p kolacji złożonej ze świeżej fasoli limeńskiej, młodych ziemniaków, smażonych kabaczków, surówki z białej kapusty i chleba kukurydzianego z rondla. Jedli również dymkę wielkości jej pięści, nad którą Gene wręcz się rozpląwał. „Słodka jak cukier!”, stwierdził. Nigdy nie ufała mężczyznom, którzy nie jedli cebuli.

Myślała o tym, że cieszy się ze szczęścia ojca Kavanagha, bardzo się cieszy. Ale minęły już całe wieki, odkąd usłyszała tę wspaniałą nowinę, a nikt ani słowem nie powiedział jej o tym, żeby miała upiec tort weselny. Wiedziała, że Cynthia jest bardzo utalentowana; umiała robić absolutnie wszystko — może z wyjątkiem haftowania krzyżykami — więc prawdopodobnie mogła upiec swój własny tort weselny.

No cóż, w takim razie na pewno o to chodzi, pomyślała z ulgą. To właśnie dlatego nikt nie odezwał się do niej ani słowem, proponując, aby jej słynne ciasto pomarańczowe znalazło się w centrum zainteresowania podczas jednego z najważniejszych przyjęć weselnych w Mitford od... może dziesięcioleci.

Z drugiej strony, dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach miałby tracić czas, żeby upiec swój własny tort weselny, skoro wystarczyłoby, żeby zadzwonił do Esther Bolick pod 8705?

Zaplanowała ten tort w myślach wiele razy. Zakładając, że lukier będzie biały, mogłaby ozdobić wierzchołek kaliami. Jena Ivey z Mitford Blossoms mogła sprowadzić kalie w jednej chwili. Myślała nawet o tym, żeby posypać dookoła lukier jadalnymi perłami. Nigdy wcześniej nie używała jadalnych pereł i

miała nadzieję, że ludziom nie powypadają plomby prosto na podłogę w świetlicy parafialnej i nie będą się o nie potykać.

Zastanawiała się również nad przyozdobieniem podstawy tortu wianuszkami z prawdziwych róż w kolorze kremowym. Do tego po bokach spływałyby róże z lukru — widziała przecież w swoim życiu kilka czasopism, nie była jakąś prowincjuską, wiedziała, co jest co w dzisiejszym świecie ciast. I czy policzyłaby ojcu Timowi za to wszystko choć jednego centa? Oczywiście że nie! Ani jednego, chociaż Bóg raczy wiedzieć, że to, ile w dzisiejszych czasach życzą sobie za składniki, sprawia, że rozbój w biały dzień wydaje się zgodny z prawem.

Esther zacisnęła usta i wpatrywała się niewidzącymi oczami w punkt na ścianie.

Problem w tym, że pieczenie własnego tortu weselnego nie ma żadnego sensu...

...więc może poproszono o upieczenie tortu kogoś innego...

Ta myśl sprawiła, że kolacja w jej systemie trawiennym zmieniła się w kamień. Zacisnęła dłoń w pięść i potarła miejsce pomiędzy żebrami, czując ból rozchodzący się aż do samego serca.

Jak mogli poprosić kogoś innego o upieczenie tortu weselnego ojca Tima? Przez lata wychwał pod niebiosa jej ciasto pomarańczowe, osobiście powiedział, że to najlepsze ciasto, jakie kiedykolwiek miał w ustach, nie mające sobie równego. Nie mające sobie równego! Więc co, jeśli nawet dwa kawałki tego ciasta nieomal go kiedyś zabiły? To była jego własna wina, że tak się opychał!

I ile ciast pomarańczowych nosiła do drzwi nieszczęsnych, chorych, w podeszłym wieku i zupełnie zrujnowanych? I ile kilometrów zrobiła, chodząc od lodówki do piekarnika, do zlewozmywaka, dorabiając się żyłaków, bólu kolan, nie wspominając o zapaleniu stawów? A więc — ile?

Pamiętała nawet ten smutny czas, gdy po pieczeniu ciast pomarańczowych przez cały dzień w końcu udało jej się położyć na elektrycznym fotelu, po czym wcisnęła guzik na pilocie i opuściła oparcie do pozycji leżącej, i — jak Gene zwykł mówić — „wyłożyła się na prosto”. Teraz brakowało już tylko tego, żeby wiadomość o tym wydostała się na zewnątrz, gdy nagle „trach!”, niezwykle gwałtowna i niespodziewana burza rozpętała się tuż nad ich domem i w jednej sekundzie pozbawiła ich prądu. I oto leżała uwięziona na tym podłączonym do prądu fotelu, ściskając w ręce zupełnie nieprzydatnego pilota — pozbawiona możliwości podniesienia się do pozycji siedzącej, a Gene Bolick był w tym czasie na spotkaniu weteranów wojennych.

Dobrze pamiętała poczucie wstydu, jakie jej towarzyszyło, gdy zmuszona sytuacją musiała zsunąć się przez oparcie fotela niczym marynarz zeskakujący ze statku. Łądując na podłodze, uderzyła się w prawą nogę, która najpierw zrobiła się cholernie błękitna, potem czarna, a w końcu brązowa, nie wspominając o biodrze, które — jak mówiła już swojemu lekarzowi — od tamtej pory od czasu do czasu ją pobołowało. A wszystko to za co? Za cztery ciasta pomarańczowe, które miały pomóc w zbiorce pieniędzy na nową toaletę w bibliotece!

Drżąc lekko, Esther wzięła do ręki pilota od telewizora i przeszukiwała kanały, aż znalazła reklamę z mówiącym psem. Nigdy nie mieli psa i nigdy nie będą mieli, sprawiały zbyt dużo kłopotu, ale lubiła psy.

Usiłowała zająć myśli psami, żeby nie myśleć o tym szokującym pomysle, który nagle przyszedł jej do głowy. Jej uwaga jednak została odciągnięta i oto dotarła do niej naga, brutalna prawda.

Winnie Ivey!

To właśnie do Winnie Ivey zwrócili się w tej wyjątkowej, zdarzającej się tylko raz w życiu sprawie — Winnie Ivey, która piekła zawodowo; Winnie Ivey, która w całym swoim życiu nie upiekła niczego niepowtarzalnego!

Usiadła prosto i usiłowała złapać oddech. Hurtowa mąka! Hurtowe masło! I — o ile wiedziała — jajka w proszku.

Krew przestała jej krążyć.

— Ze wszystkich możliwych rzeczy! — wykrzyknęła, kopiąc jeden ze swoich pantofli.

— Co?

Gene podniósł głowę i rozglądnął się dookoła.

— Czy to ty, ślicznotko?

— Czy wiesz, kogo poprosili o upieczenie tortu weselnego?

— Jakiego tortu weselnego?

— Ależ oczywiście, że ojca Tima!

— Kogo? — zapytał Gene szczerze zainteresowany.

— Winnie Ivey.

Gene wykrzyknął beztrasko:

— No, no!

— Co takiego? — rzuciła gniewnie.

Gdy jego żona podniosła się i pochylała nad jego fotelem, tak jak w tej chwili, wydawało mu się, że ma dwa metry.

— Uważam, że to ohydna i marna sztuczka, że nie poprosili ciebie!

Proszę bardzo. Gene Bolick dobrze wie, z czyjego pieca je chleb. Maszerowała właśnie do kuchni, wściekła jak osa, gdy zadzwonił telefon.

— Halo! — krzyknęła, gotowa urwać komuś głowę.

— Esther? Mówi Cynthia Coppersmith, tak się cieszę, że jesteś w domu, myślałam, że mogliście się wybrać dzisiaj z Gene'em na kręgle. Timothy i ja uważamy, że nic nie sprawiłoby nam większej przyjemności niż twoje trzywarstwowe ciasto pomarańczowe jako nasz tort weselny. Mamy nadzieję, że będziesz mogła je upiec, Timothy powiedział, że cena nie gra roli!

Cynthia była bardzo zdziwiona, gdy usłyszała, jak Esther Bolick wybucha płaczem, a potem dobiegły ją jakieś szepty i szamotanina.

— Halo! — krzyknął Gene do słuchawki. — Esther prosiła, żeby wam powiedzieć, że bardzo chętnie upiecze wasz tort weselny! I to za darmo. Proszę powiedzieć ojcu, że za darmo!

Teraz jego chór był zmartwiony, ponieważ ludzie z drugiego końca ulicy zadeklarowali swój udział.

Czy rzeczywiście zgodził się na taki plan? Pamiętał jedynie, że Mike o tym wspomniał, nic więcej. Zadzwoił do Mike'a Stovalla.

— Wydaje mi się, że rozmawialiśmy o tym, że wasz chór miałby dołączyć do naszego...

— Zgadza się! I wszystko będzie świetnie, po prostu świetnie! Mamy parę pomysłów na oprawę muzyczną...

— Oprawa muzyczna, oczywiście, pozostaje w całości w gestii Richarda, Richarda i Cynthii, więc...

— No cóż! — Głos Mike'a Stovalla zdradzał irytację.

— W każdym razie, zważywszy na niewielkie rozmiary naszej nawy i prezbiterium, wydaje mi się, że być może byłoby najlepiej, gdyby...

— Ach, wzięliśmy to pod uwagę, ojczcie. Oto nasza propozycja. Wasz chór w prezbiterium, nasz z tyłu, co ojciec myśli?

Nie był w stanie myśleć. Potrzebował do tej pracy brygadzysty, kogoś w kasku ochronnym...

— To będzie wrzesień, wiesz.

Hessie Mayhew — redaktor w „Mitford Muse”, niespokojny duch w kościele prezbiterian i utalentowana autorka kompozycji kwiatowych — przyszła, żeby przeprowadzić z Cynthią konsultacje w salonie w domu pastora. Gdy ojciec Tim podawał im lemoniadę i ciastka maślane, nie mógł się oprzeć pokusie, żeby nie posłuchać. W końcu, czyż nie był ogrodnikiem? Czyż nie był zainteresowany kwiatami?

Oddalił się po cichu w kąt pokoju ze szklanką lemoniady i wyglądał na całkowicie pochłoniętego drapaniem swojego psa za uszami.

— A we wrześniu — kontynuowała Hessie — jest bardzo niewiele do zbierania.

Hessie zbudowała swoją reputację na tym, co udawało jej się znaleźć na łąkach i pastwiskach, przydrożach i zboczach. Jej swobodne, nieformalne bukiety były prawdziwym przebojem podczas każdego wiosennego i letniego wydarzenia, a jej wiedza na temat tego, gdzie rośnie dzika marchew z najbujniejszymi baldachami i najbardziej okazałe hortensje, była zarówno bardzo szeroka, jak i ściśle tajna. Jednak, gdy nadchodziła jesień, gdy kwiaty zaczynały znikać, asekurowała się — poprzez zaaplikowanie zimnego prysznicza wybujałym oczekiwaniom swoich klientów zazwyczaj była w stanie zaproponować coś stosownie porywającego.

— Co to znaczy? — chciała upewnić się Cynthia, wyglądając na zmartwioną.

— Że to, czym głównie dysponujemy, to strąki.

— Strąki?

Jego narzeczona nie kryła przerażenia. Hessie wzruszyła ramionami.

— Strąki, nasiona, owoce — odparła, prezentując listę możliwości. — A może wolisz chryzantemy?

Hessie wypowiedziała to słowo z nieukrywaną drwiną.

Chryzantemy. Zauważył, że samo to słowo sprawiło, że jego sąsiadka zbladła.

Cynthia spojrzała błagalnie w jego stronę, ale nie nawiązał kontaktu wzrokowego. O nie, w istocie, nie będzie się włączał w środek dyskusji o strąkach i owocach, nie mówiąc o chryzantemach.

— Strąki i owoce mogą być wspaniałe — stwierdziła Hessie, jakby była największym autorytetem, jakim w istocie była. — Połączone z tym, co kwitnie, i związane w ogromne bukiety mogą wyglądać bardzo bogato zawieszane na końcu ławek. Oczywiście, użyjemy szerokich wstążek, proponowałabym francuski aksamit wzmocniony drutem, najlepiej w kolorze szaławii, i nawet coś w kolorze owoców sumaka.

Jako ukłon w stronę tradycji, Hessie lubiła wymawiać nazwę tego krzewu tak, jak robili to mieszkańcy gór.

Spojrzał ukradkiem, kątem oka na Cynthię. Jak to przyjęła? Wydawała się niepewna.

— Dlaczego nie moglibyśmy zamówić po prostu dziesiątek róż i naręczy bzu, i mieć to z głowy?

Hessie wciągnęła powietrze.

— Cóż — stwierdziła — jeśli chcesz wydać tyle pieniędzy...

I pozwolić, aby wszyscy plotkowali, że jego żona jest rozrzutna? To miała na myśli w podtekście Hessie; znał Hessie Mayhew na wylot. Wiedział też, że Hessie uważa, iż zamawianie bzu we wrześniu jest nieomal zbrodnią — nie dość, że będzie kosztował krocie, to w górach skończył się już na niego sezon!

— Nie wspominając — dodała Hessie, zaciskając usta — że w górach skończył się już na niego sezon.

— Przepraszam, że żyję — odparła jego narzeczona. — W każdym razie nie chcemy wydawać takiej sumy.

Szczerze mówiąc, jego narzeczona mogła wydać tyle pieniędzy, ile chciała, jako odnosząca sukcesy autorka i ilustratorka książek dla dzieci. Poza tym, myślał pastor, czy to nie ich ślub? Czy to nie są ich pieniądze i czy nie mogą ich wydać tak, jak im się podoba? Skulił się na fotelu, anonimowy, niewidzialny, niczym plamka na ścianie.

Cynthia westchnęła głęboko.

— Więc, Hessie, jak myślisz? Szaławia i burgund... albo powiedzmy bordo, dobrze? Burgund brzmi tak... ciężko. Czy uważasz, że powinniśmy przepleść kolory wstążek po obydwu stronach, czy też ozdobić jedną kolorem szaławii, a drugą kolorem bordo?

Wydatne policzki Hessie przybrały bardziej intensywny kolor.

— Szaławia na stronę panny młodej i bordo na stronę pana młodego, tak brzmi moje zdanie!

— Oczywiście nie mam żadnej rodziny, która mogłaby zająć miejsce po stronie panny młodej. Jedynie siostrzeńca, który nie jest prawdziwym siostrzeńcem, i ostatnia wiadomość, jaką od niego miałam, brzmiała, że jest w Kongo.

Poczuł ukłucie w sercu, słysząc smutek w jej głosie, i najwyraźniej taka sama była reakcja Hessie.

— Och, ależ ty masz rodzinę!

Hessie odrzuciła głowę do tyłu, a jej oczy błyszczały.

— Cała parafia jest twoją rodziną!

Cynthia rozważała przez chwilę tę rzuconą trochę na wyrost deklarację.

— Naprawdę tak myślisz?

— Czy ja tak myślę?! — huknęła Hessie. — Ja to wiem! Wszyscy mówią, że jesteś najradośniejszym wydarzeniem w Lord's Chapel od wieków, i nie możesz o tym zapominać, moja droga!

Najbardziej przebojowa, wszędobylska i zawsze pierwsza osoba w Mitford poklepała Cynthię z uczuciem po ramieniu.

Pstryk! I stało się coś cudownego. Hessie Mayhew, wrażliwa aż do szpiku kości pod przykrywką władczego stylu bycia, postanowiła z jakiegoś powodu zostać jej tarczą i zbroją. A nikt nie zadzierał z Hessie.

— Wszystkie miejsca po stronie panny młodej będą zajęte — planowała Hessie. — Będziemy się ścigać, żeby tam usiąść! Ja na pewno tam właśnie usiądę... bez obrazy, ojcze.

Cynthia ujęła szorstką dłoń Hessie.

— Dziękuję ci, Hessie!

Dziękuję Ci, Panie, pomyślał, porzucając swą niewidzialność i podnosząc się szybko z fotela, żeby ponownie napęłnić ich szklanki lemoniadą.

— A co — zwróciła się do niego Hessie — zamierza ojciec zrobić oprócz pojawienia się na uroczystości?

Hessie Mayhew uśmiechała się, ale wiedział, że jest śmiertelnie poważna. Hessie była zdania, że każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko, nie wyłączając chorych i kulawych, powinni w pełni uczestniczyć we wszystkich parafialnych wydarzeniach.

— Ja robię to, co zwykle — stwierdził, uśmiechając się w stronę swojej sąsiadki. — Gotuję szynkę!

Rozdział czwarty

BISKUP

„Poszedł w ziarno!”, tak czule określił kiedyś pastor swój dom od ponad trzynastu lat. Był pewien, że gorliwość Puniy w dbaniu o jego nieskazitelną czystość sprawiła, że starta została przynajmniej jedna warstwa orzecha z szyfonierki, gram czy dwa wełny z dywanu Aubusson i milimetr srebra z serwisu do herbaty.

Teraz Puniy gorączkowo usuwała kolejną warstwę ze wszystkich wymienionych sprzętów, przygotowując się na każdą uroczystość, która może odbyć się w domu, ponieważ — jak stwierdziła — dom Cynthii jest tak mały, że trudno się w nim obrócić bez potknięcia się o kota, nie obrażając Violet.

Nieomal odurzony cytrynowym zapachem Lemon Pledge podszedł do telefonu i zatelefonował do sąsiadki.

— Masz ochotę wziąć swój notes i wybrać się do parku?

— Ścigajmy się, kto pierwszy! — zawołała.

Siedzieli na ławce i przez chwilę słuchali ptaków i lekkiej bryzy, która poruszała liśćmi w parku Baxter. Pocałował ją niespiesznie. Odwzajemniła jego pocałunek jeszcze bardziej niespiesznie. Odsunęła się i wachlowała notesem, śmiejąc się.

— Przechodząc do bardziej poważnych spraw! — wykrzyknął. — Co pierwsze: biuletyn kościelny czy zaproszenia, jak myślisz?

— Biuletyn kościelny! W ten sposób wszyscy się dowiedzą, a do tych nielicznych, którzy nie należą do parafii, zadzwonimy. Spróbuję skontaktować się z Davidem, chociaż nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby zdecydował się na wyprawę z Kongo aż do Mitford!

— Gdzie ulokujemy na noc Katherine i Waltera? U ciebie czy u mnie?

— Pierwsza rzecz do omówienia — stwierdziła. — Musimy wiedzieć, gdzie my spędzimy noc poślubną.

— U mnie?

— Ale, kochanie, twoje łóżko jest takie małe.

— Tak, ale twoje jest takie duże.

Uważał, że można było urządzić polowanie na lisy na tej ogromnej połaci, którą ona nazywała łóżkiem.

— Ciągnijmy losy! — zaproponowała, pochylając się i zrywając dwa wysokie źdźbła trawy.

Bawiła się nimi przez chwilę, a potem poprosiła go, żeby zamknął oczy, i podsunęła mu je w zaciśniętej dłoni.

— I znowu hazard — narzekał.

— Długie — mój dom, krótkie — twój.

Wyciągnął krótkie.

— A niech to cholera! — prychnęła jego sąsiadka.

— Uważaj na to, co mówisz, Kavanagh.

— Czy nie odrobinę za wcześnie na to, żeby zwracać się do mnie per Kavanagh?

— Ćwiczę.

— W każdym razie masz odpowiedź. Walter i Katherine spędzą tę noc w moim domu.

— Załatwione! Odhaczył temat na liście.

— Czy przemyślałaś sprawę dziewczynek z kwiatami?

— Amy Larkin i Rebecca Owen!

— Doskonale. Muzyka?

— Richard i ja zaczynamy nad nią pracować. Zdecydowanie musimy poprosić Dooleya, żeby zaśpiewał.

— Doskonale. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem.

— *A cappella*.

— Nie lubi śpiewać *a cappella*.

— Przekonamy go, kochanie, obiecuję, i będzie cudownie, prawdziwie niezapomniane przeżycie dla wszystkich. *Miłości doskonała*, co myślisz?

— Nie będzie ani jednej osoby, która nie uroniłaby łzy. Przy okazji, jesteśmy umówieni u biskupa w środę o jedenastej.

— Co nałożysz? — zapytała.

— Ach, coś nieformalnego. Różowy walek we włosach, być może.

Klepnęła go w ramię za ten stary żart.

— Kocham cię do szaleństwa — wyznała.

— Kocham cię do jeszcze większego szaleństwa.

— Proszę nie!

— Proszę tak!

— Udowodnij to!

— Udowodnię. Zapraszam cię dzisiaj na kolację, Punny przygotowała kurczaka z kluskami.

— Kurczak z kluskami! — jęknęła z zachwytem.

— Ze świeżą fasolą limeńską.

— Jestem twoim niewolnikiem!

— Będę o tym pamiętał — odparł.

Czuł się tak młodo, jak zazwyczaj podczas wizyty u panny Sadie.

Oto znajdował się w kancelarii swojego biskupa, siedząc u boku swojej ukochanej, i zaledwie kilka minut temu rozmawiali na temat seksu. Czuł, jak krew uderza mu do głowy, sprawiając, że czerwieni się jak burak. Mimo że był księdzem i jak należało przypuszczać, posiadał kompetencje, żeby rozmawiać na

wiele osobistych tematów, w rzeczywistości to właśnie Cynthia czuła się jak najbardziej swobodnie, rozmawiając nieomal na każdy temat z każdym.

Znajdowali się obecnie przy niezwykle delikatnej kwestii spraw finansowych, które zawsze stanowiły wiodący temat programu porad przedmażeńskich Stuarta. Jak na razie, radzili sobie nieźle, omówiwszy kilka dni temu to, co Stuart określił jako istotę problemu:

Radźcie się drugiej strony w sprawie ważnych zakupów, bądźcie otwarci w kwestii waszych zasobów finansowych i skłonni uczestniczyć w wydatkach po równo, i planujcie budżet, który pierwszeństwo daje Bogu.

— A jak się czujesz, Timothy, wiedząc, że będziesz miał żonę, której dochody znacznie przekraczają twoje?

Do licha. Dlaczego Stuart nie ma dość taktu, żeby pominąć ten temat? Rozmawiał na ten temat z Cynthią, ale nie był z nią do końca szczery. Zawahał się, cierpiąc z tego powodu, zarówno ze względu na nią, jak i na siebie.

— Niezbyt dobrze — wyznał w końcu.

Cynthia spojrzała na niego. Czy ujrzał przykrość czy zdziwienie, a może jedno i drugie?

— Bóg nas połączył — powiedział. — Wiedział, co robi. I jeśli Jemu nie przeszkadza dysproporcja w tym, co ja wnoszę do małżeństwa, to wiem, że mnie też ma to nie przeszkadzać. Ale... czasami jednak tak nie jest. Proszę, zrozumcie, nie mam nic przeciw jej większym zasobom finansowym, żadną miarą — Cynthia Coppersmith jest najbardziej pracowitą, zasługującą na wszystko co najlepsze kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Problem, jeśli w ogóle istnieje, polega na tym, że... — Przerwał. Na czym polega ten problem? Czyż nie zastanawiał się nad tym przez kilka bezsennych nocy?

— Problem — odezwała się Cynthia — to utrata kontroli! Czyż nie, najdroższy? Obawiałeś się utraty kontroli przez cały czas, od samego początku. A teraz to ja jestem tą osobą, która będzie mogła kupić nowy samochód albo zabrać nas do Hiszpanii...

— Nie chcę jechać do Hiszpanii — odparł, czując się nagle bezbronny, bliski łez.

Nie chciał też nowego samochodu, był bardzo zadowolony ze starego.

Stuart uśmiechnął się.

— Jeśli będziecie tym wszystkim, czego Bóg pragnie od was w małżeństwie, będziecie jednym ciałem. Pieniądze muszą należeć do was po równo, Timothy. W swoim sercu musisz postarać się zaakceptować to, nie jako pieniądze, na które pracowałeś i które zarobiłeś, ale jako pieniądze, które Bóg powierza twojej pieczy razem z twoją żoną.

Cynthia pochyliła się w jego stronę i pocałowała go w policzek. Do oczu natychmiast napłynęły mu łzy i spłynęły po obydwu stronach nosa, zanim zdążył wytrzeć je chusteczką.

— Wydaje mi się — stwierdził — że z każdej strony wywierana jest na mnie presja. Nadal nie rozumiem, dlaczego Bóg miałby obdarzyć mnie takim błogosławieństwem — szczodłą i kochającą bratnią duszą, która rozumie najgłębsze tajniki mojej duszy, i jakby tego jeszcze było mało, dać mi zasoby finan-

sowe, które przekraczają moje najśmielsze marzenia... Szczerze mówiąc, pieniądze nie mają dla mnie prawie żadnego znaczenia. Żyłem skromnie przez całe swoje życie i nie potrafię sobie wyobrazić, żeby się to miało zmienić.

— Byłeś wyjątkowo hojny dla innych — wtrącił Stuart. — Na przykład, przez lata wspierałeś z własnych środków Szpital Dziecięcy. A teraz, Timothy, musisz pozwolić, żeby ktoś był hojny dla ciebie, jeśli ona tak postanowi.

— Tak postanawiam! — Cynthia poklepała pastora po ramieniu.

Z ulgą wszyscy napili się wody ze szklanek, które czekały na tacy.

— Jeszcze jedna istotna sprawa — zaczął Stuart — to teściowie.

— Nie mamy żadnych! — wykrzyknęła Cynthia. Stuart uśmiechnął się po ojcowsku.

— W rzeczywistości macie.

— Mamy?

— Według rejestru członków Lord's Chapel jest ich stu osiemdziesięciu trzech, co mniej więcej przekłada się na jedyne sto dwadzieścia pięć aktywnych teściów.

Jego narzeczona wyglądała na zirytowaną, delikatnie mówiąc.

— Tak, i są wśród nich tacy, którzy już nie mogą na mnie patrzeć. Wszystko było świetnie, dopóki...

— Dopóki się nie dowiedzieli, że się pobieracie — dokończył Stuart. — Wtedy wszystko zepsuła zazdrość. Oni byli pierwsi — przez lata cieszyli się jego niepodzielną uwagą — teraz muszą się nią podzielić.

— Uch — westchnęła.

— Mam jednak nadzieję, że ty potrafisz pogodzić się z faktem, że jego uwaga też będzie podzielona. Tak jak oni, będziesz musiała się dzielić swoim księdzem. W odróżnieniu od nich, będziesz musiała się dzielić swoim jedynym, ukochanym. — Stuart spojrział z sympatią na Cynthię. — Jesteś chyba jedyną osobą, która potrafi to zrobić.

— Dziękuję — odparła. — Proszę się za mnie modlić.

— Razem z Marthą modlimy się za was od czasu, gdy Timothy przywiózł cię ze sobą na lunch. Obydwoje byliśmy zdania, że posiadasz wyjątkowe wewnętrzne światło, które promienieje na naszego przyjaciela jak latarnia morska. Dziękujemy ci za to.

Pastor zauważył z ukłuciem czułości, że jego narzeczona spłoneęła głębokim rumieńcem, czego rzadko bywał świadkiem.

— Zawsze uważałem, że aby zostać małżonką duchownego, trzeba być wyjątkowo szlachetną osobą — zauważył Stuart. — W każdym razie ty i oni wkrótce przyzwyczaiacie się do dzielenia się nim. To wszystko jest procesem — kwestią czasu i cierpliwości, i miłości. Wiem, że dołożysz starań, żeby tak było.

— Tak! — przytaknęła. — O, tak!

Biskup skrzyżował ręce na swojej szczupłej, środkowej części ciała i spojrział na gości.

No to nadeszła ta chwila, pomyślał pastor.

— Czy modlicie się razem? — zapytał Stuart.

— Tak! — odparli zgodnie.

— Codziennie wieczorem — dorzucił z własnej woli ojciec Tim.

— Wspaniale! Przypomina mi się, co powiedział nasz przyjaciel Oswald Chambers, że modlitwa nie przygotowuje nas do lepszej pracy, modlitwa jest lepszą pracą. Wspólna modlitwa potwierdza, że jesteście jednym ciałem, i poza nieskończoną listą błogosławieństw, które z nią spływają może w istotny sposób udoskonalić waszą komunikację seksualną.

Plamka światła zatańczyła na noszącym ślady wieloletniego użytkowania perskim dywanie, odbijając gałązki derenia za oknem.

— Najwyższa forma modlitwy to ta, w której nie prosimy dla siebie — wyjaśniał Stuart — ale staramy się dowiedzieć, co możemy zrobić dla Boga. To sprawia Bogu największą radość! Gdy będziecie się starali dowiedzieć, co możecie zrobić dla drugiej osoby, wtedy z pewnością sami zostaniecie obdarzeni własną, przewyższającą ludzkie pojęcie radością

Pastor ujął dłoń Cynthii.

— Krótko mówiąc, miłość fizyczna utrwala wasz związek duchowy, a wasz związek duchowy pogłębi waszą miłość fizyczną. To wszystko w cudowny sposób się uzupełnia.

Pastor i jego sąsiadka wzięli głęboki oddech dokładnie w tej samej chwili i spojrzeli na siebie, śmiejąc się.

— A teraz... — zaczął Stuart.

— A co teraz? — upewnił się ojciec Tim.

— Rozwiązywanie konfliktów.

— Czy musimy? — chciała wiedzieć Cynthia.

— Czy zdarzyły się już jakieś konflikty pomiędzy wami?

Para spojrzała na siebie.

— Jego samochód — powiedziała Cynthia.

— Tak, co chcesz powiedzieć o moim samochodzie? — dopytywał się pastor.

— Nie pamiętasz? Powiedziałam, że pije benzynę, rdzewieje, a pokrycia foteli przypominają ścierki Puny.

— A ja powiedziałem, że jestem z niego bardzo zadowolony. Proszę bardzo!

Biskup chciał konfliktu, to ma konflikt. Pastor nagle poczuł, jak uciska go koloratka.

— A więc — Cynthia wyjaśniła Stuartowi — gdy jedziemy Parkway albo wybieramy się z wizytą do naszego biskupa, korzystamy z mojego samochodu.

— Co o tym myślisz?

Zmarszczyła nos. Przez chwilę wpatrywała się w sufit. Uśmiechnęła się.

— Nie przeszkadza mi to.

Stuart zachichotał. Miał własną opinię na temat samochodu swojego księdza, ale był daleki od wygłoszenia tego komentarza.

— To wspaniale, że jesteś gotowa nazwać konflikt, moja droga. To pozwala nam zaatakować problem, zamiast atakować drugą osobę.

Stuart oparł się wygodnie na fotelu.

— A więc, Timothy, co myślisz o prowadzeniu jej samochodu, a nie swojego?

— Jest w porządku! — odparł jak najbardziej szczerze. — Nie przeszkadza mi to.

Uścisnął dłoń Cynthii i odwrócił się w jej stronę.

Wydawała się promienieć w jakiś śliczny sposób, którego nigdy przedtem nie widział. Po krótkiej chwili słusznego oburzenia znowu zmienił się w budyń.

W drodze do domu jej mazdą zauważył, że spojrzała na niego czule co najmniej dwa razy.

— Mój cukiereczku — szepnęła, klepiąc go w kolano. Cukiereczek! Gdy był dzieckiem, mówiono do niego: „Śliski”;

Katherine nazywała go misiem, wszyscy bez wyjątku zwracali się do niego: „Ojczy”. Najbardziej jednak podobało mu się to nowe imię. Może jednego dnia... może... zastanowi się nad wymianą swojego buicka na nowy model. Ale z pewnością nie usunie nic z salonu, o nie, pod żadnym pozorem.

Rozdział piąty

DOWCIP

Pojechał do centrum handlowego w Wesley i obejrzał gabloty w sklepie jubilerskim.

Ogarnęło go najwyższe przygnębienie. Nie było absolutnie nic, co dorównywałoby zapałowi, iskrze, wigorowi i olśniewającemu urokowi jego sąsiadki.

Planował, że każe zrobić pierścionek, a następnie ozdobić go specjalnie dla Cynthii Coppersmith Kavanagh. Wyobrażał sobie ich inicjały misternie splecione wewnątrz obrączki — *ccktak*. Ale oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia, do kogo zadzwonić albo do kogo się zwrócić. Gdy ktoś zostawił katalog Ross-Simon na stoliku na poczcie, chwycił go i wyniósł na zewnątrz, do swojego samochodu. Przeglądał go tam z najwyższym zainteresowaniem, aż w końcu się opamiętał, gdy uświadomił sobie, że od pół godziny siedzi w samochodzie z włączonym silnikiem, pocąc się w płaszczu, jakby to był środek lata.

— Przepraszam — wyznał, spoglądając na jej pusty palec wskazujący. — Gdybym zrobił wszystko jak należy, dałbym ci w dniu oświadczyn pierścionek.

— Tak naprawdę nie chcę pierścionka zaręczynowego, najdroższy. Wystarczy prosta złota obrączka.

— Jesteś pewna?

— Tak! — zawołała. — Uwielbiam proste złote obrączki.

Natychmiast przed oczyma pojawił mu się obraz złotej obrączki jego mamy. Leżała u niego w garderobie, w pudełku na półce, przewiązana delikatną wstążką. Zaniesie ją do sklepu, każe ją wyczyścić i wygrawerować; i podaruje ją przed ołtarzem, z niewypowiedzianą radością i dziękczynieniem.

Poczuł się tak, jakby w końcu zaczął wszystko robić dobrze.

Wujaszek Billy Watson zmiótł z rdzewiejącego krzesła z chromowanego metalu liście i gałązki po wczorajszej nocnej burzy i usiadł na podwórku za Porter Place, vel Muzeum Miejskie w Mitford.

Spojrzał ze smutkiem na morze wyrosniętej trawy, które rozciągało się aż do końca domu, a potem ginęło z pola widzenia. Służby miejskie miały kosić trawę co dwanaście dni; według jego obliczeń, minęło czternaście, a dzisiaj zaczynał się już piętnasty. Trawa była tak wysoka, że można się było w niej zgubić i nigdy nie zostać znalezionym. To prawdziwy wstyd, jak miasto przedkłada każdą najmniejszą drobnostkę nad skoszenie trawy wokół czegoś tak dumnego i wspaniałego jak ich własne muzeum. Gdyby był w stanie, zrobiłby to sam, ale jego artretyzm pozwalał mu zaledwie na podniesienie się i zejście po schodach, a co dopiero mówić o przeczesaniu połowy hektara rdzewiejącą, ręczną kosiarką. Miał nadzieję, że gdy znajdzie się w niebie, Pan obdarzy go nowym ciałem i da mu pracę, która będzie wymagała czegoś od mężczyzny.

Nie przyszedł tu jednak po to, żeby się denerwować. Przyszedł, żeby połamać sobie trochę głowę nad dowcipem, który opowie na ślubie kaznodziei, w tym pokoju, w którym będą jeść tort i szynkę po uroczystości. Chociaż nikt nie wspomniał o tym ani słowa, starszy mężczyzna wiedział, że kaznodzieja będzie czekał na dowcip, będzie na niego liczył, i czuł się odpowiedzialny, uważał to za obywatelski obowiązek, aby opowiedzieć najlepszy dowcip, jaki zdoła wymyślić.

Nigdy nikomu tego nie powie, ale wydawało mu się, że kaznodzieja zawierający małżeństwo w tak późnym wieku to jakby żart sam w sobie. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby ojciec był już kiedyś żonaty i miał trochę doświadczenia, ale o ile wszystkim było wiadomo, nie miał żadnego.

Ale kim był, aby osądzać, jak innym układa się życie. Połowa miasteczka uważała, że jest absolutnie szalony, żyjąc z Rose Watson; nawet jego wujek — który przyjechał ich odwiedzić wiele lat temu, gdy Rose była jeszcze śliczna jak obrazek — powiedział mu: „Nie mogę w żaden sposób zrozumieć, jak ty z tym wszystkim wytrzymujesz”.

Wydaje się, że jej choroba zaczęła dawać pierwsze oznaki tuż po ślubie, mimo że widział i ignorował pewne sygnały ostrzegawcze już od dnia, w którym się poznali. Przez lata powtarzał sobie, że musiał coś zrobić źle, że może nie wielbił jej tak, jak to przyrzekał, i może Bóg karał ich za jego niewiedzę i zaniedbanie. Potem lekarze rozpoznali chorobę, o nazwie, której pisowni nie był w stanie zapamiętać, a jedynie z największym trudem wymawiał: schizofrenia.

W najgorsze dni zaciskał oczy i przypominał sobie dziewczynę, którą zobaczył na podwórku tego domu, ponad — ile to było? — czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat temu. Miała bose stopy i włosy związane do tyłu wstążką. W roboczym ubraniu i brudny po pracy w polu od samego świtu, przyjechał z doliny z wozem pełnym pomidorów i kolb kukurydzy do smażenia. Miał też torebkę bułek i smażone mię-

so na kolację. Jechał przez miasteczko, szukając miejsca, gdzie mógłby stanąć wozem i sprzedać swoje produkty, i wtedy zobaczył ją stojącą na podwórku. Na początku myślał, że to posąg. Potem poruszyła się i światło zaczęło padać na nią w pewien szczególny sposób, a on zawołał: „Czy pozwoli pani stanąć wozem na swojej drodze?” Ona podeszła do niego, uśmiechnęła się i kiwnęła głową „Śmiało, proszę schodzić”, powiedziała. Zawsze pamiętał jej pierwsze słowa, które do niego skierowała: „Śmiało, proszę schodzić”. Wstydział się, że nie ma butów, ale potem zobaczył, że ona też. Kręciła się w pobliżu, spoglądając na niego w sposób, który sprawiał, że czuł się najpierw nieswojo, a potem szczęśliwy. Podzielił się z nią swoimi bułkami i mięsem, a ona poszła do domu i przyniosła słoik herbaty tak słodkiej, że aż bolały od niej zęby. W przerwach, gdy nie było klientów, opowiadała o sobie dość swobodnie. Jej ukochany brat, Willard, umarł na wojnie i został pochowany za oceanem, we Francji. Opiekowała się nią kobieta, która w ogóle się nią nie interesowała. Wczesnym przedpołudniem już sprzedał wszystko z wyjątkiem pomidorów, które dał Rose. Ona obiecała, że pozwoli mu zaparkować tutaj wóz za tydzień.

Pobrali się osiemnaście miesięcy później, wbrew woli jego rodziny z doliny, której już nigdy potem nie odwiedził. I tak oto prosty chłopiec z doliny, bez żadnego wykształcenia, poślubił dziewczynę z dużym majątkiem odziedziczonym w spadku i najwspanialszym domem w Mitford. Jemu z kolei zostało wypłatanie krzeseł i robienie karmników.

Gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby jednak tak samo. O tak. Kochał tę długonogą dziewczynę z dzikimi oczami ponad wszystko i nigdy nie zapomni, jak tuliła się do niego i nazywała go swoim chłopcem Billym i słodkim Williamem, i całowała go z niewinnością dzikich fiołków.

Podbródek opadł mu na pierś i obudził się nagle. No proszę, śpi sobie w najlepsze, podczas gdy ma pracę do wykonania.

Co to za praca? Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć. Potem pamięć powróciła.

Ręka mu drżała, gdy opierał laskę o pień drzewa.

— Boże — powiedział na głos — mam nadzieję, że wybaczysz, że proszę, żebyś zesłał mi dobry dowcip dla kaznodziei, nie wie Bóg...

Pani burmistrz Esther Cunningham nie mogła się powstrzymać. Za każdym razem, gdy myślała o ślubie ojca Tima, przypominała sobie, jak poznała się z Rayem i jak się spotykali, a oczy zachodziły jej mgłą. Nie lubiła, gdy oczy zachodziły jej mgłą. Przestała płakać wiele lat temu, gdy zmarł jej tato. Ilekroć miała ochotę się rozplakać, nauczyła się kierować płacz do wewnątrz, i czasami odnosiła wrażenie, że oto topnieje w niej sople lodu. Przeczytała artykuł w czasopiśmie u Fancy Skinner, który mówił, że jeśli zatrzymuje się smutek w sobie, uzewnętrznia się on w postaci raka albo czegoś jeszcze gorszego, chociaż nie miała pojęcia, co może być jeszcze gorsze. Autor artykułu twierdził dalej, że bliskość w stosunkach z mężem ma bardzo pozytywny wpływ na zdrowie, i bez względu na to, co jeszcze może wydarzyć się w tym życiu, ona i Ray mieli tego pod dostatkiem. Czterdzieści siedem lat po ślubie, a oni nadal trzymali się za ręce, jak na swojej pierwszej randce.

Przed Rayem, Bobby Prestwood robił wszystko, co w jego mocy, żeby wkupić się w jej łaski, włącznie ze zrobieniem z siebie idioty w szkole niedzielnej, kiedy to wstał z ławki pewnego ranka i wyznał, za co jest wdzięczny: „Jestem wdzięczny za mojego chevy'ego V-8, moją mamę i tatę, i za Esther Lovell!” Zupełnie nie była zainteresowana tym, za co jest wdzięczny Bobby Prestwood, i tak mu zresztą powiedziała na pikniku, na którym poznała Raya. Ray przyszedł trochę później ze swoimi kuzynami i przyniósł ze sobą koszyk ze smażonym kurczakiem i surówką z białej kapusty, które sam przygotował. Nie mogła uwierzyć, że ktoś tak duży i wysoki, i przystojny umie gotować, a co dopiero siekać kapustę; nie mogła po prostu wyjść z podziwu. Mierzyła go wzrokiem od stóp do głów, żeby się upewnić, czy nie jest maminsynkiem, ale nie znalazła na to żadnych dowodów. Gdy kuzyni zaprosili ją, żeby do nich dołączyła, przyjęła zaproszenie, zjadła trzy kawałki smażonego kurczaka Raya ze wszystkimi dodatkami i zabrała do domu skrzydełko zawinięte w serwetkę. Dwa miesiące później wzięli ślub.

Do dzisiaj nie spotkała drugiej kobiety, której mąż masowałby stopy, a może ludzie po prostu o tym nie mówili. I nie dość, że Ray masował jej stopy po całym dniu i połowie nocy morderczej pracy na spotkaniach w ratuszu, czekał na nią z kolacją w piekarniku, którą czasami zabierała do łóżka i jadła, siedząc i oglądając telewizję, podczas gdy on leżał obok niej i głaskał ją po nodze. „Moje małe kochanie”, mówił czasami, głaskając ją.

Gdyby kiedykolwiek musiała wejść do łóżka, w którym nie ma Raya Cunninghama, umarłaby, byłoby po niej, „kaput”, jak zwykł mawiać Lew Boyd.

Wzięła do ręki słuchawkę i wykręciła numer do domu.

— Ray...

Usłyszała szczekanie Teensy w oddali.

— Hej, moje słodkości! Upał dzisiaj jak w piekle, przywiozę ci za chwilę słoik lemoniady. Chciałabyś coś jeszcze?

Nie powiedziała mu, że wszystko, czego potrzebowała, to usłyszeć jego głos.

Wujaszek Billy poczłapał do jadalni i zaczął przeszukiwać stertę gazet. Inspektor miejski straszył, że każe je wywieźć, ale potem o tym zapomniał. Szukał kilku egzemplarzy „The Farmer's Almanac”, które zostawił specjalnie ze względu na dowcipy.

Na czoło i górną wargę wystąpiły mu krople potu, gdy przeglądał stertę gazet, nie było jednak śladu po „The Farmer's Almanac” w czerwonych okładkach. Do licha, chował tu różne rzeczy już od lat i zawsze potrafił je znaleźć, a tym razem ani śladu.

Sprawdzał dłonią stertę „Mitford Muse”, która zajmowała miejsce obok drzwi kuchennych, i wyczuł znajomy kształt almanachu. Co to takiego? Wyjął i spojrział. Banknot dwudziestodolarowy! Miał ochotę krzyknąć z radości, ale dobrze wiedział, że lepiej będzie, jak tego nie robi.

Gdyby Rose zwietrzyła tę dwudziestkę, w każdy możliwy sposób próbowałaby mu ją odebrać. Nie, na Jowisza, zrobi coś, czego nie robił prawie nigdy, ale o czym często myślał. Pójdzie do baru Grill i za-

mówi frytki, i zrobi Rose niespodziankę, i przyniesie jej koktajl mleczny. Poza tym kilka swoich najlepszych dowcipów usłyszał właśnie w barze Grill — może więc tam znajdzie ten, którego teraz szuka.

Sprawdził starannie, czy nie wkłada dwudziestki do dziurawej kieszeni, zarzucając tymczasem poszukiwania almanachów, przeprowadził pośpieszne poszukiwania jakiegokolwiek innej waaty, którą mógł kiedyś schować w pobliżu.

Louella Baxter Marshall siedziała przy oknie w pokoju do szycia, który teraz stał się jej sypialnią w Fernbank, przeglądając katalog.

Światło było tu dobre i dokładnie widziała zdjęcie sukienki, którą nałoży na ślub.

Po dwóch dniach modlitwy w tej sprawie i przyglądaniu się na przemian stronie 42 i 47, pokazała pannie Sadie, co wybrała.

— Zielona czy w kolorze lawendy? — poprosiła o radę swoją wieloletnią przyjaciółkę i siostrę w Chrystusie.

Panna Sadie była zdecydowana.

— W kolorze lawendy! — zawołała. — Zawsze było ci w nim dobrze.

Panna Sadie była trochę jak mama, ponieważ to właśnie ona знаła historię życia Louelli, to właśnie ona mówiła takie rzeczy jak: „Gdy byłaś dzieckiem, nie znosiłaś smażonych jabłek” albo: „Pamiętam, jak kiedyś zawiozłam cię do miasta w wózku dla lalki — wyskoczyłaś z niego i goniłaś ulicą za Perrym Mackeyem, żeby polizać jego miętowy lizak. Wystraszyłaś go na śmierć!”

Louella nie pamiętała żadnego z tych zdarzeń, które lubiła wspominać panna Sadie, ale słyszała o nich tak często, że stały się nieomal jej własnymi wspomnieniami. Chętnie wracała do obrazka małego białego chłopca, za którym goniła po ulicy, żeby polizać jego lizak, i zastanawiała się, dlaczego, u licha, uwielbiała teraz smażone jabłka, skoro wtedy ich nie cierpiała.

— Skąd pani wie, że zawsze wyglądałam dobrze w tym kolorze?

— Gdy miałaś około sześciu lat, mama uszyła dla ciebie lawendową sukienkę z marszczeniem na górze. Nie pamiętasz jej, z małymi perłowymi guziczkami? To była taka ładna sukienka, że nieomal byłam zazdrosna!

Była na sobie taka zła, że nie pamięta.

— Nie wydaje się pani, że ten duży biały kołnierz jest trochę zbyt strojny dla mnie? Czy jestem dość ładna?

— Wielkie mi tam! Może on nie jest wystarczająco ładny dla ciebie!

Śmiały się potem długo, a następnie postanowiły podjąć ostateczną decyzję w sprawie stroju panny Sadie. Strona 36 była zbyt nijaka, strona 37 miała za wysoką talię, strona 40 była nie tylko bezkształtna, ale miała rękawy trzy czwarte, w których — jak powszechnie wiadomo i jak świat światem — zawsze wyglądało się wyjątkowo niekorzystnie. Strona 41 jednak wydawała się obiecująca.

— Podoba mi się krój — wyjaśniała panna Sadie, przyglądając się sukience przez szkło powiększające — ale mam zbyt siwe włosy do tego koloru.

— No tylko posłuchajcie! Siwe włosy wyglądają doskonale z błękitnym.

— Ale to bladobłękitny i mogę wyglądać w nim zbyt blado.

— Nie, słonko, to on może wyglądać przy pani zbyt blado!

Znowu się śmiały jak dzieci, aż w końcu zdecydowały się na bladobłękitną francuską krepę z marszczoną górą.

Louella przybliżyła katalog do okna i mrużąc oczy, ponownie spojrzała na zdjęcie.

Jakże chciałaby, żeby Moses Marshall mógł zobaczyć ją wystrojoną na ślub ojca Tima. Spojrzałby na nią i byłby taki dumny. Ach, jakże kochała tego mężczyznę od dnia, w którym go zobaczyła!

Zamknęła oczy, żeby odpocząły, i oparła katalog na piersi, a wtedy zobaczyła swojego przyszłego męża, jak wchodzi do kuchni w pensjonacie w Atlancie.

Miała piętnaście lat, włosy splecione w cienkie warkoczki zaczesane do tyłu oraz przecucie, że zaraz zdarzy się coś cudownego.

Moses Marshall uśmiechnął się do niej tak, że nieomal ścięło ją z nóg. Nigdy nie widziała nikogo, kto by tak wyglądał, gdy dorastała w Mitford. Jedyni kolorowi w Mitford byli w starszym wieku i przygarbieni.

— Kto upiekł te wspaniałe bułki na kolację? — zapytał.

Z największym trudem była w stanie się odezwać.

— Dlaczego chce pan wiedzieć?

— Ponieważ ta, która upiekła te wspaniałe bułki, zostanie moją żoną.

Spojrzała na starszą pannę Sally Lou, która musiała stawać na palcach, żeby zajrzeć do garnka na kuchni. Była taka drobna i zasuszona, że niektórzy mówili, że ma sto lat, ale Louella wiedziała, że ma tylko osiemdziesiąt dwa lata i nadal nadzoruje przygotowanie trzech posiłków dziennie w pensjonacie.

Wskazała na pannę Sally Lou, bojąc się wyznać prawdę — że to ona, Louella Baxter, sama upiekła bułki, trzy pełne blaszki, po których nie zostało ani śladu.

Moses Marshall obrzucił swym jasnym radosnym spojrzeniem pannę Sally Lou, podszedł do niej, uniósł ją do góry i obrócił dookoła dwa razy, zanim znowu postawił ją na podłodze, jak lalkę.

— Wspaniałe bułki, proszę pani. Czy zechce pani zostać moją żoną?

— Zejdź mi z drogi, zanim zdzieję cię w głowę! — zawołała panna Sally Lou. — Z nią się ożeń, to ona upiekła bułki, ja piekę drożdżowe rogate.

Miała szesnaście lat, gdy pobrali się w domu jej babci w Atlancie, gdzie zamieszkała po opuszczeniu Mitford. Jej babcia przygotowała ucztę weselną, której ukoronowaniem był placek z nadzieniem brzoskwiniowym. „Po co jeść tort, skoro można zjeść placek z nadzieniem owocowym?“, powtarzała zawsze jej babcia.

Lata spędzone z Mosesem były najszcześniejszymi latami jej życia, tuż obok tych spędzonych z panną Sadie. Pan jednak zabrał Mosesa do siebie, gdy ten miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat, a potem

zabrał jej drogiego chłopca w strasznej katastrofie statku, pozostawiając wnuczka, który mieszkał w Los Angeles...

Wyrzała na zielony sad i pokiwała głową, uśmiechając się.

— Mosesie Marshallu — powiedziała — zapraszam cię, żebyś towarzyszył mi na ślubie, ale nie podszczypuj mnie i nie całuj na oczach Boga i wszystkich innych...

Dooley Barlowe próbował się cieszyć, ale doszedł do wniosku, że nie bardzo wie, co to ma znaczyć. Próbował wnikać w głąb siebie, w głąb swojego serca może, i usiłował się przekonać, czy będzie potrafił spojrzeć na małżeństwo ojca Tima i Cynthii jako na coś dobrego i pozytywnego. Widział już, co się dzieje, gdy ludzie mieszkają razem pod jednym dachem. Wrzeszczeli i krzyczeli, i walczyli ze sobą, i mówili do siebie straszne rzeczy. Widział, jak jego tato niejedną raz zamierzał się na mamę tasakiem, a potem, kiedy tato uciekł, widział, jak mama wychodziła i znikła z domu na dwa albo na trzy dni, i pozostawiała na jego głowie opiekę nad dziećmi i znajdowanie dla nich jedzenia, nie zostawiając mu żadnych pieniędzy, za które mógłby coś kupić.

Pamiętał, jak kiedyś ukradł ze sklepu spożywczego szynkę i przyniósł ją do domu, ale nie wiedział, jak ma ją ugotować. Wrzucił ją do garnka wrzącej wody z owsianką i zostawił na piecu, aż woda się wygotowała. Następnie podzielił mięso na pięć części i próbował je zjeść, i tak bardzo się zatruli, że myślał, że wszyscy umrą w nocy. Kiedyś ukradł pięć puszek kukurydzy w kremie, żeby wszyscy mieli dokładnie to samo i nie kłócili się o to, kto co dostał i jak dużo, i kierownik sklepu go złapał, i bardzo na niego naskoczył, ale pozwolił mu zatrzymać kukurydzę, mówiąc, że jeśli jeszcze raz zrobi coś takiego, zostanie wysłany do więzienia. Kobieta, która była świadkiem tego całego zamieszania, poszła i kupiła puszkę buraków Harvarda, bochenek chleba Wonder, pół kilograma cukierków M&M i litr maślanki, a potem dała mu to wszystko w torbie. Pamiętał, że nie był w stanie przełknąć maślanki i młodsze dzieci też nie chciały jej wypić, nie mogli jej jednak z czystym sumieniem wyrzucić, więc stała w lodówce może przez rok.

Nie lubił o tym myśleć, chciał zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło, zanim tu zamieszkał, ale czasami nie potrafił. Najbardziej chciał zapomnieć o swojej małej siostrzyczce, Jessie, ponieważ myślał o tym, że została gdzieś zabrana i nikt nie wiedział, gdzie jest, sprawiała, że miał ochotę się rozplakać, a starał się ze wszystkich sił, żeby jego twarz była spokojna i kamienna, żeby nikt nigdy nie mógł dojść do tego, co myśli.

Czasami, szczególnie w nocy, przypominał sobie, jak usiłował pomóc swojej mamie, gdy była pijana, i nagle czuł, jak wzbiera w nim ogromna miłość. Potem był na siebie zły za to, że jest taki głupi, i odczuwał to stare i wstydlive pragnienie, żeby umrzeć.

Z ojcem Timem żyło mu się bardzo dobrze. W końcu czuł się bezpiecznie, jakby wszystko miało dobrze się ułożyć. Ale teraz nie wiedział, co się stanie. Lubiał Cynthię, ale jeśli ona nie będzie go lubiła, jeśli będzie próbowała sprawić, żeby odszedł albo wrócił do mamy? A jeśli Cynthia będzie próbowała być jego mamą? Na taką myśl serce zmroził mu lód. Pragnął swojej własnej mamy, nawet jeśli jej nienawidził i nie chciał już nigdy więcej, do końca życia, widzieć.

Był zadowolony, że Barnaba przyszedł do jego pokoju i wskoczył na jego łóżko, układając się w nogach, ponieważ to wspaniale mieć przyjaciela. Poza tym Barnaba nigdy nie powie nikomu, że on płacze i nie może przestać.

Rozdział szósty

LIST

Serce nieomal pękało mu z jakiejś niewypowiedzianej tęsknoty, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Był przecież szczęśliwy, że został obdarzony wszystkim, co to życie mogło mu dać, nawet więcej niż wszystkim.

Siedział przy biurku w salonie i wyglądał przez okno na zapadający nad parkiem Baxter zmierzch. Cynthia pracowała nad ilustracją, która miała zostać wysłana jutro rano pocztą kurierską FedEx. Gdyby nie to, znajdowałby się teraz u jej boku, Ignąc do jej żywej istoty jak jego lista zakupów przytwierdzona magnesem do drzwi lodówki.

Zabębnił palcami po blacie biurka.

Nie chciał pracować nad kazaniem. Nie chciał wziąć prysznic i wsunąć się do łóżka z ukochaną książką pochodzącą z jego doskonale wyposażonych półek, i z pewnością nie chciał włączyć telewizora i pozwolić, aby zgiełk wypełnił to ciche miejsce jak jakaś plugawa Niagara. Nie przychodziło mu do głowy nic, co miałby ochotę zrobić; żadne z jego zwyczajowych zajęć nie wydawało się kuszące.

Aha. Jego palce zamarły na blacie biurka.

Nagle już wiedział, z absolutną jasnością.

Chciał utrwalić, w jakiś sposób, radość tego pozbawiającego tchu zdarzenia, która go porwała i obezwładniła, i zauroczyła. Być może dla większości ludzi, którzy zakochiwali się wiele razy, nie byłoby to takie piękne przeżycie, ale dla niego było nowe i olśniewające. A jednak, nawet przy całej unikalności, wydawało mu się, że ucieka, staje się ono częścią historii jego życia, w której niuanse, odcienie zostaną utracone na zawsze; zachowane w świadomości — tak, ale zatarte przez upływający czas, a potem, obawiał się, znikną zupełnie.

Wysunął szufladę biurka i wyjął blok listowy oraz jedno ze zwykłych piór, które ostatnio polubił. Mimo że atrament miał odrażający zapach, podobało mu się to, jak prezentuje się na papierze — czarny, śmiały i godny zaufania.

Wiedział teraz, do czego nakłania go dusza. Wiedział i pomysł ten spodobał mu się niezmiernie.

Napisze wiersz.

W nim opowie wszystko, wyzna całą swoją miłość, która — przez swą ogromną i przytłaczającą siłę — do tej pory zdawała się pozbawiać go zdrowych zmysłów.

Z nią doznawał całej gamy... nie, całego spektrum uczuć, które jednak niezmiennie manifestowały się jak zachodnia granica stanu Rhode Island*:

* Zachodnią granicę stanu Rhode Island stanowi linia prosta. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

„Jesteś dla mnie najpiękniejsza będę Cię kochał wiecznie czy zostaniesz moją żoną i uczynisz mnie najszcześniejszym mężczyzną pod słońcem”, kropka, koniec wyznania.

Nie krył zdziwienia, jak dużo udało mu się osiągnąć w znajomości z tą kobietą poprzez wypowiedzenie jedynie najbardziej podstawowych miłosnych deklaracji. Wszystkie były oczywiście niewyobrażalnie szczere, a mimo to były słowami zbyt prostymi i było ich zbyt mało. Ani razu nie dorównały temperamentowi, urodzie czy też duchowi tej, do której były adresowane.

Wiedział teraz, dlaczego ludzie mieli ochotę krzyczeć ze szczytu dachu, wątpił jednak, żeby koniec końców miało to przynieść jakiś wymierny efekt. Można było wspiąć się na dach i balansując niebezpiecznie na szczycie albo kominie, wykrzykiwać aż do ochrypnięcia: „Kocham! Kocham!”

A co zrobiliby ludzie na ulicy? Spojrzeliby do góry, wzruszyli ramionami, przewrócili oczami i zapytali: „I co z tego?”

Poderwał się radośnie z krzesła i poszedł do kuchni nastawić wodę na herbatę. Najwyraźniej wykrzykiwanie ze szczytu dachu było ulotnym wydarzeniem w historii zakochanych, nie cenionym zbyt długo jako pełnoprawne wyrażenie żarliwego uczucia. Co więc w takim razie zawsze działało bez pudła? Poezja! I historia tego dowiodła!

— „Kocham — zacytował, napełniając czajnik — ...jak wszystko, czego sobie życzę, jak to, co jest mi powszednią opoką; kocham swobodnie jak cnotę wysoką...”*.

Proszę bardzo! Już lepiej. Jedyne problem, że E.B. Browning już to napisała.

* Fragment wiersza Elizabeth B. Browning *Jak ja cię kocham* w tłumaczeniu Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego zaczerpnięto z książki *Poeeci języka angielskiego*, PIW, Warszawa 1971.

Stał, rozmyślając przy kuchence, jakby spowity mgłą, która sprawiała, że na chwilę zapominał, gdzie jest i co ma zamiar zrobić, aż czajnik zagwizdał, a wtedy obudził się i zauważył, że z dziwną radością wrzuca do czajnika torebki i wlewa parującą wodę.

Przykrył czajnik i zostawiwszy herbatę, żeby się zaparzyła, wrócił do salonu i przeglądał zawartość półek. Nie od razu mógł znaleźć tomik poezji miłosnej, ale z pewnością znajdzie tu coś, co go zainspirowuje, sprawi, że krew zacznie mu krążyć szybciej. Wybrał mały błękitny tom, z którego korzystał raz czy dwa przy udzielaniu porad małżeńskich, i otworzył go na przypadkowej stronie.

— „Jest mi smutno, gdy Cię nie widzę — przeczytał na głos fragment listu dziewiętnastowiecznego amerykańskiego amanta. — Wyjdź za mnie, dobrze? I zamieszkaż ze mną. Zrobię wszystko, żebyś była

szczęśliwa. Nie będziesz musiała ciężko pracować, a gdy będziesz zmęczona, możesz położyć mi głowę na kolanach i zaśpiewam Ci do snu...".

Porządny chłop!, pomyślał.

— „...ponieważ kocham Cię tak bardzo, nie każę Ci przynosić drewna ani wody, ani karmić świń, ani doić krów, ani iść do sąsiadów, żeby pożyczyć mleko. Czy wyjdiesz za mnie?"

Wsunął książkę z powrotem na półkę, wziął inną i przekartkował rozdział poświęcony w całości sprawom małżeńskim.

— „Już cię nie kocham; wręcz przeciwnie, nie cierpię Cię...". — Napoleon Bonaparte do Józefiny. Nie ten rozdział.

O, tutaj było coś wartego uwiecznienia, słowa pióra Evelyn Waugh z listu, w którym się oświadcza:

— „Nie mogę Ci radzić, abyś przyjęła moje oświadczyzny, ponieważ myślę, że byłoby to dla Ciebie okropne, ale pomyśl, jakże przyjemne byłoby to dla mnie!"

Czy byłoby to okropne dla Cynthii? Życie z nim, starym konserwatystą? Czym prędzej odrzucił tę myśl, polizał prawy palec wskazujący i przewrócił kartkę.

— „Ukoronowałaś mą młodość wieńcem róż i umocniłaś mnie na zło podeszłego wieku. Twa odwaga i radość życia przepelniły mnie radością. Twoja czuła wierność stała się opoką i pocieszeniem. W jednej chwili poczułem do Ciebie wiele rodzajów miłości. Prosiłem Cię o wiele i nigdy mnie nie zawiodłaś. Dzięki Tobie wszystkie kolory nabierały intensywności, piękno stawało się bardziej wyraziste, a rozkosz jeszcze pełniejsza...".

Duff Cooper, piszący do swojej przyszłej żony w ponurym wojennym roku 1918, wiedział, jak przejść do rzeczy, bez wątpienia. Może mógłby jakoś wykorzystać ten pomysł o odwadze i radości życia; zawsze uważał, że Cynthia jest odważna.

Westchnął głęboko. Szczerze mówiąc, to poszukiwanie do niczego nie prowadzi. Próby naśladownictwa pomysłów zrodzonych w umysłach innych mężczyzn to strata cennego czasu. Dostyc tego marudzenia.

Pośpieszył ponownie do kuchni i napełnił kubek herbatą, następnie dodał odrobinę mleka i dobrze zamieszał; wrócił do biurka, usiadł, spoglądając na kubek, blok listowy, pióro i jak za oknem zapada ciemna noc.

Rozmyślał nad tym, że pisał hymny do Boga, nawet kilka w swoim czasie, ale nigdy nie robił czegoś takiego, nigdy! Wiedział, że Bóg zna go dokładnie i że dostrzega pasję jego serca, dlatego nie pocił się zbyt nad linijkami, które brzmiały tu i tam trochę niezręcznie i odrobinę brawurowo, ale to...

— Pisz! — wykrzyknął na głos.

Barnaba zerwał się z chodnika obok sofy, podszedł do swojego pana i stanął przy biurku. Pastor wolno obrócił głowę i przez chwilę spoglądali sobie smutno w oczy.

„Najdroższa Ukochana... — napisał w końcu — moja czułości... radości mojego serca...".

Przekreślił te wątle słowa i zaczął jeszcze raz:

„Najcudowniejszy aniele światła i życia...”.

A może coś z Pieśni nad pieśniami? Po zastanowieniu cofnął te słowa. Pieśń nadal sprawiała, że się rumienił. Kto wpadł na pomysł, że to o Chrystusie i Kościele...

Ssał prawy palec wskazujący i przez chwilę zastanawiał się nad wersami z Shakespeare'a; przygryzł dolną wargę i przypomniał sobie Keatsa; schował głowę w dłoniach oparty o biurko i rozważał żarliwe wyznanie Roberta Browninga: „Cała moja dusza podąża za tobą, ukochana... i żyję, będąc twoim”.

Do licha, po dwakroć. Wszystko, co dobre, już zostało napisane.

Mówił do siebie z pewnym ożywieniem, wędrując z Lord's Chapel w górę Main Street. A gdyby Shakespeare nigdy nie przelał swych myśli na papier, twierdząc, że wszystko, co dobre, już zostało napisane? Szczerze mówiąc, co byłoby, gdyby on pewnego ranka postanowił nie nauczać, ponieważ wszystkie dobre kazania już zostały wygłoszone?

— Ha!

Po drugiej stronie okna wystawowego Irish Shop, Minnie Lomax przyglądała się uważnie pochyłonej głowie i przygarbionej sylwetce kaznodziei z miasteczka, gdy mijał ją w pośpiechu, poruszając wargami w — jak przypuszczała — modlitwie.

Wcale nie wyglądał jak mężczyzna ogarnięty miłością, nie w jej opinii.

Dlaczego wpatrywał się w chodnik, podczas gdy mógł patrzeć w niebo albo gwizdać, albo machać do niej przez okno jak zazwyczaj? Był przerażony tym, w co sam się wpakował, ot i przyczyna! Ponad sześćdziesiąt lat i bierze ślub po raz pierwszy? Sama myśl o tym przyprawiała ją o dreszcz.

Ona nigdy nie wyszła za mąż, i nigdy nie chciała. Cóż, nie nigdy, dokładnie rzecz biorąc. Raz chciała i co z tego wyszło? Pociągnęła nosem, wygładziła kardigan na swych szczupłych biodrach, wyjęła z kieszeni papierową chusteczkę i wydmuchała nos, a potem odwróciła się do wnętrza pustego sklepu, zastanawiając się, co może zrobić, żeby zwabić dzisiaj klientów. Wełna nie sprzedawała się zbyt dobrze w okresie letnim. W przyszłym roku doradzi właścicielowi, żeby wystawił więcej bawełny i lnu, na litość boską i pozbył się całego zapasu tych ohydnych szydełkowych czapek.

Będzie dobierał słowa tak uważnie, jak jego mama wybierała brzoskwinie z ciężarówki Lota Stringmana. „Proszę pozwolić, że je dla pani wybiorę, pani Kavanagh”. „Nie, dziękuję panu — odpowiadała — sprawia mi przyjemność, gdy robię to sama”.

W końcu zrozpaczony faktem, że napisanie wiersza przekracza jego możliwości, postanowił zadowolnić się napisaniem listu.

Doskonała brzoskwinia za doskonałą brzoskwinia, tak właśnie będzie dobierał słowa...

„Niedzielne popołudnie, godzina czwarta, lekka bryza poruszająca firankami otwartego okna

Moja Własna, pomyśl tylko, jak te dwa proste słowa są w stanie poruszyć mnie i przyprawić o drżenie, i pozbawić mnie tchu! Zostałem wyniesiony na wyżyny, których nigdy przedtem nie znałem, gdzieś ponad chmury, które spowijają otoczoną górami dolinę i z których rozpościera się widok na zawie-

szone w powietrzu wierzchołki szczytów. Żyłem wygodnie przez lata, nieszczęsny, zapatrzony w siebie, a teraz zniknęła wygoda, zostałem pozbawiony wszystkiego, co zwyczajne i znajome, a przepelniony wszystkim, co napawa obawą i zmianą; jestem niczym nowo narodzona owieczka na niepewnych nogach. Każdy mój nerw odpowiada na Ciebie, moja najdroższa miłości, i moja wdzięczność dla Boga za ten dar nie zna granic, nie zna granic! Rzeczywiście, na koniec zostawił to, co najlepsze, i to, że w ogóle zapragnął to zostawić dla mnie, jest cudem. Cudem! Niech nikt nigdy nie mówi, ani nawet nie myśli, że Bóg nadal nie działa cudów; każdy zwyczajny dzień, każde zwyczajne życie jest nimi wypełnione, jak wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, kogo kiedykolwiek poznałem. Ty, która dostrzegasz życie w najzwyklejszym źdźble trawy, nauczyłaś moje własne oko szukać i znajdować wszędzie Jego wielkość w nieprzebranej ilości.

Mimo że dzieli Cię ode mnie zaledwie kilka kroków, znajdujesz się zaledwie za żywoplotem, tęsknię za Tobą, jakbyś była w Persji, a zarazem jesteś ze mną, a koszula, którą mam na sobie, pachnie Tobą.

Zawierzyłem swoje serce całkowicie tylko raz, i właśnie Jemu. Teraz On sam przeznaczył w moim sercu miejsce dla Ciebie. Jest duże i otwarte, i wypełnione światłem, nie ma ścian ani granic, które by nas ograniczały, a On w swojej łasce uformował je tak, żeby dać nam ciepło i schronienie, i radosną wolność aż do końca naszych dni.

Niech to będzie jedynie pierwsze z wielu podziękowań, które będę do Ciebie zanosił za wszystko, czym dla mnie jesteś, i za drogocenny, niezrównany dar Twojej miłości.

Wiedz, proszę, że będę się pilnował — że dołożę wszelkich starań, aby przynieść Ci szczęście, na które tak bardzo zasługujesz, i — za Jego łaską — przedkładać Twoje potrzeby nad moje.

Niech Bóg błogosławi Cię swą największą czułością, teraz i zawsze, moja najdroższa, moja już wkrótce, żono.

Timothy".

Siedział zupełnie pozbawiony sił, nic z niego nie zostało, absolutnie nic, był niczym pergamin, przez który można zobaczyć światło.

— Barnaba — szepnął.

Jego dobry pies poruszył się u jego stóp.

— Chciałbym powierzyć ci pewną misję, stary przyjacielu. Złożył list, żałując, że napisał go na kartce ze zwykłego bloku.

Ach, no cóż, co się stało, to się nie odstanie. Włożył list do koperty i zastanawiał się przez chwilę, jak może go zaadresować.

W liście schowanym w kopercie można było powiedzieć wszystko, na co się miało ochotę, ale zewnętrzna strona koperty to już zupełnie co innego, jest całkowicie jawna, jakby odsłonięta, przed... przed kim? Przed żywoplotem? Przed niebem?

„Moja miłości, moje błogosławieństwo, moja sąsiadko”, napisał z pewną beztróską.

Polizał kopertę, zakleił ją i siedział tak przez chwilę, trzymając na niej dłoń. Następnie poszedł z nią do kuchni i znalazł kawałek szpagatu, który zawiązał wokół szyi swojego cierpliwego psa. Ponieważ nie miał dziurkacza, przebił róg koperty czubkiem noża do mięsa i przewłókł szpagat przez dziurkę, a potem zawiązał supeł.

— Proszę! — powiedział na głos.

Zszedł z Barnabą po tylnych schodach i przeszedł przez podwórko pod żywopłot.

— No dobrze, kolego, zanieś to do Cynthii!

Barnaba podniósł nogę pod rododendronem.

— Zanieś to do Cynthii! — zawołał, wskazując palcem w stronę małego żółtego domku. — Tam! Idź i odwiedź Cynthię!

Barnaba odwrócił się i spojrzał na niego ze śmiertelną obojętnością.

— Kot! — syknął. — Dom Cynthii! Kot, kot, kot! To powinno zadziałać.

Barnaba powąchał kilka gałązek, które leżały w trawie, następnie usiadł i podrapał się energicznie.

Do licha, co za głupi pomysł. W dawnych czasach mężczyzna posłałby swojego służącego, swojego stangreta albo kogoś takiego, a on próbował posłać psa — zasłużył sobie na to, co go spotykało.

— Idź, do licha! Idź do tylnych drzwi Cynthii, uwielbiasz tam chodzić wtedy, gdy nie powinienes!

Barnaba przyglądał mu się przez chwilę, następnie obrócił się i pobiegł przez żywopłot, przez jej podwórko i wbiegł po schodach na jej ganek, gdzie usiadł i przycisnął nos do drzwi z siatką, zaglądając do środka.

Ojciec Tim nagle poczuł się tak, jakby miał dziesięć lat. Dlaczego nie umiał pomyśleć sensownie przez zaledwie pięć minut z rzędu? Jego pies może siedzieć pod tymi drzwiami do końca świata, a Cynthia nie będzie miała nawet pojęcia, że on tam jest. Czy powinien pobiec i zapukać do drzwi, żeby zwrócić jej uwagę, a potem uciec?

Nagle zaczęło mu się wydawać, że wpłatał się w najbardziej żalosalną sytuację w... całym swoim życiu. Oblał się rumieńcem.

— Timothy?

To Cynthia, wołała do niego z okna swojej pracowni. Zupełnie zapomniał o oknie w jej pracowni.

— Hm, tak?

— Dlaczego chowasz się za żywopłotem?

Myślał, że zapadnie się pod ziemię. Nie mam pojęcia, chciał powiedzieć.

— Jest przesyłka — nieomal wykrzyczał ostatnie słowo — u twoich tylnych drzwi.

— Ach — odparła.

Czekał, zakrywając twarz dłońmi.

— Mój Boże! — słyszał, jak wykrzykuje, otwierając drzwi z siatką. — List na sznurku!

Na pewno będzie tego żałował.

— Moja miłości, moje błogosławieństwo, moja sąsiadko! — krzyczała z zachwytem.

Czy musiała informować wszystkich sąsiadów?

— Idź i powiedz swojemu panu, że otrzymałam jego jakże mile widziany list... którego nie jestem w stanie odwiązać ze sznurka. Uch!... Och, do licha, poczekaj, to przyniosę nożyczki.

Jego pies czekał.

— A ponadto — kontynuowała, wracając i odcinając list — nie omieszkaj mu powiedzieć, że dołożę wszelkich starań, żeby mu jak najszybciej odpowiedzieć. Jednakże, mój drogi Barnabo, nie łudź się ani przez chwilę i nie rób sobie absolutnie żadnej nadziei, że mój list zostanie dostarczony przez Violet.

Drzwi z siatką trzasnęły za nią.

Spełniwszy obowiązek, jego pies wstał, otrzepał się i szedł królewskim krokiem po schodach, następnie przemierzył podwórko i przeszedł przez żywopłot, gdzie — z resztką szpagatu wokół szyi — usiadł i wpatrywał się w swojego pana ze zdecydowanym lekceważeniem, jeśli nie pogardą.

Rozdział siódmy

MODLITWA

Przycisnęła list do serca, pragnąc, aby siła jego przesłania dotarła do głębi jej duszy i pomogła jej uwierzyć — razem z jego autorem — że oto spotkało ich wyjątkowe błogosławieństwo.

Tak, kochała go; szczerze mówiąc, ponad własne życie. A jednak powoli zaczął ogarniać ją strach, strach, który w końcu nauczyła się rozpoznawać i dostrzegać — że nie zdoła go zadowolić i dać mu radości, na którą to przede wszystkim on zasługiwał; strach, że Timothy, tak jak Elliott, dojdzie do wniosku, że nie ma z niej żadnego pożytku; strach, że jej ksiądz, jej sąsiad, a teraz narzeczony, może odkryć w niej jakiś „straszny brak”, jak Elliott nazwał jej niezdolność do rodzenia dzieci.

Zaledwie kilka tygodni temu płakała z rozpaczy, że Timothy Kavanagh nigdy nie będzie w stanie przezwyciężyć własnego strachu i oddać jej swego serca.

Teraz pochyliła głowę i zapłakała, ponieważ w końcu to uczynił.

Stała przy zlewozmywaku w kuchni, wykładając łyżką jednolitą masę śmierdzącego pokarmu dla kotów do miski Violet.

Wciągając gwałtownie powietrze, wpatrywała się w miskę kota, którą właśnie napełniła, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

Była przerażona. Cóż uczyniła, gdy przyjęła jego oświadczenia z taką niesamowitą gorliwością i radością? Pochopnie zgodziła się na związek, który może się okazać gorzkim rozczarowaniem zarówno dla niej, jak i Timothy'ego?

I jeszcze jedno — czy mogła, sama często czując się odrzucona, zostać przyjacielem i przewodnikiem dla odrzuconego chłopca? Wydawało się jej, że może, wiedziała, że chce — dla dobra Dooleya i własnego.

Postawiła miskę dla Violet na podłodze i przeszła korytarzem do swojej pracowni. Tam stanęła przy oknie, spoglądając ponad żywopłotem na dom pastora. Oto był jego kamienny komin, jego dach kryty dachówką, okno jego sypialni pod daszkiem...

Jak często znajdowała pocieszenie już w samym spoglądaniu na jego dom — miejsce, gdzie pracował w swoim salonie, drzemał przy kominku, czesał psa, musztrował swojego samowolnego chłopca i wreszcie żył swym codziennym życiem.

Zaczął się od tego, że zakochała się w nim do szaleństwa jak żalosna nastolatka; na jego widok oblewała się rumieńcem, a dźwięk jego głosu sprawiał, że dostawała gęziej skórki. Co gorsza, przez wiele miesięcy zupełnie nie mogła się skoncentrować.

Obmyślała sposoby, żeby spotkać go na ulicy, a raz opadła na ławkę przed barem Grill, udając, że skręciła kostkę i że opóźnia to jej wyprawę do Sklepu. Rzeczywiście nadszedł, tak jak się spodziewała, i usiadł obok, i uśmiechał się do niej w sposób, który sprawiał, że nie była w stanie wydobyć z siebie prawie ani jednego słowa, aż w końcu uciekła z ławki, zapominając o tym, żeby utykać na nogę, i unikała go potem przez kilka tygodni.

Pamiętała również dzień, w którym odmówiła modlitwę, a następnie podeszła śmiało do jego tylnych drzwi. Serce biło jej głośno pod swetrem, gdy prosiła, żeby pożyczył jej filiżankę cukru, aby mogła upiec ciasto. Ponieważ nie miała zamiaru piec ciasta, martwiła się, czy on jako ksiądz nie zdoła jej przejrzeć i zdemaskować oszustwa. Ale on zaprosił ją do środka i poczęstował pozostałościami ze swojej kolacji, i dostrzegła w jego oczach coś... rodzaj dobroci, który sprawił, że jej serce przeszył ból na widok prostoty i prostoliniowości. A potem jego pies przywiązany za smycz do uchwyty szuflady ze srebrem wyrwał szufladę, sprawiając, że widelce, noże i łyżki rozsypały się z brzękiem po kuchni, a niektóre wypadły aż na korytarz. Rzucili się zgodnie na kolana, zanosząc się śmiechem, gdy zbierali porozrzucane sztućce. Już wtedy wiedziała, że powstała pomiędzy nimi jakaś więź i że to śmiech ją przypieczętował.

Minęły już lata, odkąd odszedł Elliott — dokumenty rozwodowe przyszły następnego dnia pocztą poleconą — i przez wszystkie te lata nikt nie był w stanie sprawić, żeby zaschło jej w ustach i żeby ugięły się pod nią kolana. Ach, jakże było jej wstyd i jak dręczyło ją to, że kochała jak nastolatka, a nie jak... wyzwolona kobieta, cokolwiek to oznacza.

Ten początkowy, niezręczny czas był jednocześnie nieodparcie słodki. A teraz to — niepewność i rozterka, i obawa, i... tak, dziwnie przerażające myśli o kobietach z Lord's Chapel, które przez lata otaczały go niczym kłujący żywopłot, chroniąc go, jakby był ich własnością; podtrzymując go — jak lubiły myśleć — przed niemądrymi potknięciami; karmiąc go bezami i ciastami z masą przy każdej okazji; bawiąc się w jego siostry i matki, jakby był ich powołaniem. Widziała teraz coś, co przedtem jedynie pobieżnie zauważała, a mianowicie panujące powszechnie przekonanie, że nieżonaty ksiądz należy do matron kościoła w całości.

Niejeden raz czekała u jego boku, czując się niezręcznie i jak nastolatka, podczas gdy one kłębiły się wokół niego — dopytując o poziom cukru, zdejmując nie istniejący włos z kłapy jego marynarki, pole-

cając mu, aby wziął sobie tydzień urlopu, i z fałszywą skromnością nalegając, żeby nie wypuszczał się poza granice miasta. Były oczywiście zupełnie nieszkodliwe, każda z nich, i nienawidziła się za takie prymitywne i blahe myśli, ale one były prawdziwymi myślami, a teraz, gdy wszyscy już wiedzieli, czuła, że jego gromadka ocenia ją w nowy, jeszcze bardziej surowy sposób.

Jednak pomimo całej ich matczynej słabości do swojego księdza, wiedziała, że nie doceniają go w najbardziej przerażający sposób. Słyszała, jak członek Bractwa Ołtarzowego zastanawiał się kiedyś, jak komukolwiek „tak młodemu i pewnemu siebie” mógł spodobać się „ich drogi, stary ksiądz, który jest łysy jak kolano i na dodatek ma cukrzycę”.

W istocie, nie był jedynie łagodnym i miłym człowiekiem, jakim go postrzegali. Był za to mężczyzną o nieprzebranych zapasach siły i odwagi, największej czułości oraz wyjątkowego dowcipu i elegancji.

Od początku widziała w nim zapal do swego powołania, który przemawiał do jej serca, umysłu i duszy w tak głęboki i znajomy sposób, że wydawało się jej, iż jest dawno zagubionym krewnym, który w końcu wrócił z odległych stron. On też to czuł, tę więź pomiędzy jakimiś siłami witalnymi w sobie a jej własną witalnością, i został porażony, dosłownie, jakby siłą pioruna podczas letniej burzy.

Wiedziała, że już nigdy nie odnajdzie takiej więzi, i odważnie zmierzała do niej, do jej ciepła, do jej źródła, podczas gdy on odsuwał się przerażony.

„Miłość przywołała mnie do siebie — zacytował kiedyś George'a Herberta — lecz moja dusza uciekła”. Dostrzegła subtelną ironię w fakcie, że George Herbert był duchownym.

Spojrzała na zapisaną odręcznie kartkę, przypiętą nad jej stołem do rysowania — było to coś, co przepisała w bibliotece w Mitford ze starej książki Elizabeth Goudge:

„Już dawno nauczyła się akceptować fakt, że szczęście jest jak jaskółki na wiosnę. Może przyjść i zagnieździć się pod twoim dachem, albo i nie. Nie można wydać mu polecenia. Kiedy spodziewasz się, że będziesz szczęśliwa, nie jesteś; kiedy tego nie oczekujesz, nagle w twojej duszy rozkwita Wielkanoc, chociaż może to być środek zimy. Coś, nie wiesz co, gdzieś w najbardziej odległych zakamarkach twojego istnienia zerwało pieczęć na drzwiach, które prowadzą do wieczności”.

Do wieczności!

Odsunęła się od okna i szybko przeszła do kuchni. Zrobi coś, co jeśli nawet tylko przez krótką godzinę, to jednak ma moc rozwiązania każdego problemu, przynosi pewne i absolutne pocieszenie.

Będzie gotować.

Wyjęła z lodówki kurczaka, już natartego oliwą z oliwek i rozgniecionym czosnkiem, z połówką cytryny wsuniętą do środka. Spryskała oliwą z oliwek swój pradawny żeliwny rondel, umieściła w nim ptaka, kładąc go na plecach, po czym zmieliła pieprz i sól na jego pulchne mięso. Ze szklanki wody na parapecie wyjęła wonną łądygę rozmarynu i wsunęła ją pod skórę na piersiach ptaka. Wierzchołek zielonej łądygi sterczał do góry jak pióro zatknięte za opaskę kapelusza.

Nastawiła termometr piekarnika na 450 stopni, w której to temperaturze zostawi go na trzydzieści minut, a następnie zmniejszy do 350 na kolejną godzinę. Potem wsunęła surową jeszcze ucztę na środkową półkę piekarnika.

Najbardziej bolesne w tym wszystkim było to — wiedziała w głębi serca — że nie ma nikogo, z kim mogłaby o tym porozmawiać. I czyja to wina, jak nie jej samej? Czyż nie pracowała jak pospolity wyrobnik, odkąd przybyła do Mitford, robiąc miejsce dla swojej pracy, a nie dla przyjaciół? O tak, była lubiana, nawet bardzo, ale nie miała zaufanego przyjaciela, przed którym mogłaby otworzyć serce. Nie było nikogo, absolutnie nikogo.

Z wyjątkiem... uśmiechnęła się na tę myśl... samego księdza. Poczuła nagle ciepło wokół serca i radość. Czyż nie wyznała mu czegoś zaledwie wczoraj?

— Nie lubią mnie — powiedziała niezadowolona z nuty żalości, którą usłyszała w swoim głosie. — Lubili, oczywiście, zanim się dowiedzieli, że rzeczywiście zamierzasz się ze mną ożenić, ale teraz...

— Bzdury! — zaprzeczył z uczuciem. — Mają o tobie jak najlepsze zdanie!

Był to najwyraźniej największy komplement, jaki mógł wypowiedzieć południowiec, a mianowicie, że inni mają o tobie „jak najlepsze zdanie”!

Zdała sobie sprawę, że nie dokończy ilustracji, jak obiecała wydawcy; skończy ją dopiero jutro. Ona, która tak nie lubiła nie dotrzymywać obietnic, nie dotrzyma tej jednej.

— Timothy? — zapytała, gdy odebrał telefon. — Czy możesz do mnie przyjść?

Serce biło jej mocno i słychać było wyraźnie drzenie jej głosu; świergotała jak kanarek.

— Jestem przerażona, najdroższy, śmiertelnie przerażona.

Uwielbiała to, jak z nią siedział, nie mówiąc nic szczególnego, nie dopytując się, nie ponagając jej, siedział po prostu na jej dwuosobowej kanapce. Być może najbardziej lubiła to, że zawsze sprawiał wrażenie, jakby czuł się dobrze w każdym miejscu, w którym właśnie się znalazł. Robił wrażenie zadowolonego z życia we własnej skórze, nie usiłował cały czas z niej wyskoczyć, jak niektórzy mężczyźni, jak James, jej wydawca, który był wiecznie błyskotliwy i inteligentny, i aż kipiał od szalonych pomysłów, które udawało mu się z dużym sukcesem realizować. Z Timothyem dla odmiany przychodził spokój, coś bogatego i głębokiego, i... odżywczego, rodzaj duchowej zupy z kurczaka, gotującej się na wolnym ogniu gdzieś w zakamarkach duszy.

— Powiedz mi — poprosił ją w końcu. — Powiedz mi wszystko. Jestem przecież twoim księdzem.

Jego uśmiech wydawał się jej olśniewający, taki olśniewający byt, który wydobywa się ze spokoju. Prysnęła podnózek do dwuosobowej kanapki i usiadła blisko niego.

— Strasznie się boję, że nie będę umiała uczynić cię szczęśliwym — wyznała.

— Ale to ja się tego bałem! W końcu wyrzuciłem ten strach, a on schował się tutaj.

— To nie jest śmieszne, Timothy.

— Ja się nie śmieję.

Ujął jej dłonie i pocałował lekko koniuszki jej palców, a ona poczuła jego zapach, jego niewinność i na nowo nabrała odwagi.

— A może pomodlimy się razem? — zaproponował. — Pozwólmy naszym sercom przemówić do Jego serca...

Siedząc u jego stóp, pochyliła głowę i zamknęła oczy, a on pogładził ją po ramieniu. Mimo że zegar tykał w holu, miała wrażenie, że czas stanął w miejscu i że mogłaby siedzieć z nim w tej zadumie w nieskończoność.

— Panie — powiedział zwyczajnie — oto jesteśmy.

— Tak, Panie, oto jesteśmy.

Jednocześnie wciągnęli powietrze i wypuścili je, wzdychając długo, i w jednej chwili zrozumiała, że sama czynność oddychania w Jego obecności jest niczym kojący balsam.

— Dobry Boże — kontynuował — uwolnij tych, których kochasz, od poczucia bezradności, aby mogli przyjąć miłość, którą w swej dobroci i hojności dajesz, tak łaskawie, z samej głębi swojego istnienia. Pomóż nam, abyśmy byli tak wielcy, jak miłość, którą nam dajesz. Czasami jest ona dla nas zbyt wielka, Panie, nawet bolesna w swej sile. Zabierz stare obawy, stare granice, które już nie mają żadnej wartości ani znaczenia, i w Twojej łasce pozwól Cynthii uchwycić tę śmiałą, świeżą wolność...

— Tak, Panie — modliła się — wolność, której nigdy przedtem naprawdę nie znałam, ale którą wiernie ukazywałeś mi w przebłyskach, w momentach olśnienia, w smugach tak ulotnych jak... światło Twojego księżycyca w nowiu!

Uścisnął jej dłoń, wyczuwając tętno.

— Ojczy, uwolnij mnie od strachu, żeby kochać bez ograniczeń i całkowicie. Ja, która strofowałam tego dobrego człowieka za jego obawy, jego słabości, udając zupełnie nieświadomie pewną siebie i odważną. Przejrzałeś mnie, Panie, odkryłeś... odkryłeś, jaka jestem naprawdę... — Nastąpiła długa chwila ciszy, wypełniona jedynie tykaniem zegara. — ...przerażona siedmiolatka, która stoi u drzwi, czekając na tatę i mamę, którzy... nie wracają do domu. Nawet po tych wszystkich latach, kiedy byłeś dla mnie Ojcem, który zawsze jest w domu, czuję się czasami... czuję się więźniem starych, bolesnych obaw i wstydę się swojego strachu i ciemności, która powstrzymuje mnie przed wyjściem w jasność...

— Mówisz nam w swoim Piśmie — modlił się — że nie dajesz nam ducha bojaźni...

— Ale mocy i miłości, i trzeźwego myślenia! — wyszeptał, kończąc werset z Drugiego Listu do Tymoteusza.

— A więc, Panie, odrzucam Wroga, który jest gotów uciec się do każdego sposobu, żeby odmówić Twym dzieciom błogosławieństwa Twojej łaski.

— Tak, Panie!

— Pomóż nam przyjąć Twój pokój i odwagę, Twą wiarę i moc — dokończył.

— Tak, Panie!

— Dziękujemy Ci, że jesteś z nami teraz i w nadchodzących tygodniach, i nadchodzących latach.

— I, Ojcie — dodała — proszę, daj mi łaskę, abym kochała Dooleya tak, jak Ty go kochasz, i daj mi cierpliwość, by dodawać mu otuchy, wspierać i rozumieć go, ponieważ pragnę całym swoim sercem, abyśmy mogli wzrastać razem w harmonii jak prawdziwa rodzina. — Odetchnęła głęboko i z ulgą. — A teraz, Panie...

W miarę jak ich modlitwa zbliżała się do końca, mówili jednocześnie, tak jak podczas ich wspólnych wieczornych modlitw, które ostatnio rozpoczęli.

— ...uczyn w nas czyste serce... odnów w nas właściwego ducha... i napełnij nas Twoim Duchem Świętym... przez Chrystusa naszego Pana... amen.

Pomógł jej wstać z podnóżka i usiadła obok niego na kanapce, wdychając spokój, który otulił ich niczym szal.

— Strach wiele razy będzie się zakradał — wyjaśnił, tuląc ją do siebie. — Nigdy nie zostaniemy jego niewolnikami, jeśli przyjmujemy go modlitwą.

— Tak! — szepnęła, czując, jak z jej ramion unosi się ogromny ciężar.

— Gdy przechodziłem przez żywopłot, dobiegł mnie zapach kurczaka.

— Kolacja za dwadzieścia minut? — szepnęła.

— A już myślałem, że mnie nigdy nie zaprosisz — odparł.

Rozdział ósmy

PREAMBUŁA

Rano siódmego września, w pokoju gościnnym na piętrze domu pastora, biskup Smart Cullen sprawdzał, czy jego szaty liturgiczne nie są pomięte i czy nie noszą niechcianych śladów zagniecenia. Nic jednak nie znalazł. Wyjął z pudełka swoją mitrę i postawił ją na komodzie, pamiętając, że pastorał znajduje się w bagażniku samochodu, podobnie jak jego czarne, wypolerowane buty i parasolka na wypadek deszczu.

Krzążając się po pokoju w bokserkach w kolorze fuksji, które otrzymał od swojego biskupa pomocniczego, nucił fragmenty piosenki Johnny'ego Casha, podczas gdy Martha Cullen siedziała na łóżku i czytała egzemplarz czasopisma „Country Life”, który Puny położyła na stoliku trzy lata temu i wiernie odkurzała od tamtej pory. Pochłonięta artykułem o architekturze ogrodów ziołowych, zupełnie nie zwracała uwagi na piosenkę *Ring of Fire* w wykonaniu biskupa biorącego długi, gorący prysznic, który sprawiał, że woda w prysznicu po drugiej stronie korytarza kapiała na głowę pastora wąskim strumieniem.

Pod tą skąpą mżawką pastor dziękował Panu, że biskup wygłosi dzisiaj rano kazanie, a on jedynie będzie odprawiał mszę. Były to dla niego najprawdziwsze wakacje na Kajmanach. Szczerze mówiąc, obawiał się, że gdyby otworzył usta, żeby wygłosić jakąkolwiek mądrość, wydobyłaby się jako jakiś nieznan

język, biorący swój początek nie z chrztu Duchem Świętym, ale z czegoś bliskiego panice, albo jeszcze gorszego. Rozpaczał, że podczas nocy zniknął gdzieś budyń, a zastąpiły go dominujący strach i drzenie.

W swoim pokoju na końcu korytarza Dooley siedział na krawędzi łóżka i czuł ogarniające go i przyprawiające o zawrót głowy mdłości, które nadeszły razem z aromatem gotującej się szynki dochodzącym z kuchni. Wypowiedział jedno po drugim trzy słowa na cztery litery i poczuł się rozczarowany, gdy w żołądku nadal odczuwał łaskotanie.

Miał nadzieję, że głos mu się nie załamie w czasie hymnu. Mimo że zgodził się zaśpiewać *a cappella*, nie miał zaufania do takich występów. Jeśli zaśpiewa się fałszywą nutę, nic tego nie zamaskuje. Chciał, żeby towarzyszyły mu trąbki albo coś naprawdę głośniego, ale nie, Cynthia chciała słyszeć „czysty głos Dooleya”. Uch.

— Boże — poprosił na głos — nie pozwól, aby mój śpiew zabrzmiał dziwnie. Amen.

Wcale nie myślał, że Bóg naprawdę go usłyszy albo uchroni przed tym, aby jego głos nie zabrzmiał dziwnie, ale stwierdził, że to dobry pomysł, żeby Go poprosić.

Wydawało mu się, że ogólnie potrafi spojrzeć na wszystko dużo bardziej optymistycznie. Wczoraj ojciec Tim spędził cały dzień, zabierając go do różnych miejsc, potem przebiegli trzy kilometry z Barnabą, a następnie wybrali się do Cukierni Sweet Stuff. Potem Cynthia uściśnęła go tak mocno, że niewiele brakowało, a udusiłaby go. „Dooley — powiedziała — naprawdę mi na tobie zależy”.

Gdy to usłyszał, poczuł, jak jego twarz zastyga niczym kamień. Nie chciał, żeby tak się stało, mięśnie jego twarzy zawsze tak reagowały. Wiedział, że Cynthia mówi szczerze, ale będzie musiała udowodnić, że mówi szczerze, zanim się do niej uśmiechnie; wiedział, że chce, żeby się do niej uśmiechnął. Może rzeczywiście tak się stanie, kiedyś, ale nie teraz. Teraz usiłował zrobić wszystko, żeby nie zwymiotować, ponieważ musi zaśpiewać pieśń, której nawet nie lubi, na ślubie, co do którego nadal nie ma stuprocentowego przekonania.

W kuchni małego żółtego domku za żywoplotem Cynthia Coppersmith stała na bosaka w swoim wiekowym szydełkowym szlafroku, z różowymi wałkami z gąbki we włosach, jedząc połowę hot doga z lodówki i pijąc kawę tak mocną, że miała konsystencję tapioki.

Wróciwszy wczoraj wieczorem do domu z przyjęcia w country clubu, gdzie — z uprzejmości — poczęstowała się odrobiną sałatki, ugotowała parówkę i zjadła jej połowę w bułce z czymś, co, jak się jej wydawało, było musztardą, ale w istocie okazało się chrzanem, mniej więcej w wieku jej usychającej paproci bostońskiej. Był to pierwszy prawdziwy posiłek, jaki ostatnio była w stanie spożyć, z wyjątkiem krewetki i trzech pomidorów winogronowych na piątkowym uroczystym lunchu wydanym na cześć panny młodej. Dwoma kęsami dokończyła hot doga. Czując, że jej ostatnio bardzo mizerny apetyt odzywa się ze zdwojoną siłą, zaczęła przeszukiwać lodówkę, aż znalazła kawałek smażonej płastugi ze środy, którą spryskała sokiem z geriatrycznej cytryny i stojąc przy zlewozmywaku, zjadła z animuszem.

Dwie przecznice dalej Esther Bolick obserwowała przez kuchenne okno, jak kilka deszczowych chmur rozsunało się i odsłoniło słońce.

— Szczęśliwa panna młoda, na którą świeci słońce! — obwieściła z ulgą.

Podchodząc energicznie do piekarnika, wyjęła trzy blaszki z plackami do trzywarstwowego ciasta, przełożyła je na metalowe stojaki, aby wystygły, i stała, opierając dłonie na biodrach, w swojej koszuli nocnej z bułkami i w pantoflach nocnych z pyszczkiem króliczka. Spojrzała z zadowoleniem na trio idealnych żółtych księżyców, następnie przemaszerowała przez kuchnię po jeszcze jedną filiżankę kawy bezkofeinowej. Czarne źrenice plastikowych oczu zajęczków przewracały się i stukały jak kostki do gry.

Pójdzie do szkoły niedzielnej i na mszę o jedenastej, potem wróci do domu i polukruje ciasto, a następnie pozwoli mu chwilę postać przed przewiezieniem do kościoła o czwartej. Razem z Gene'em postąpią jak zwykle w przypadku transportu ciasta trzy warstwowego — położą gazetę na podłodze części transportowej i kiedy Gene będzie prowadził, ona będzie siedziała z tyłu na stołeczku i przytrzymywała ciasto, żeby nie ślizgało się po kartonowym pudełku. Bez półciężarówki nie byłoby absolutnie żadnego sposobu pod słońcem, aby mogła realizować swoje powołanie, chyba że piekłaby ciasta w blaszkach, czym szczerze gardziła i na czym za żadne skarby świata nie dałaby się przyłapać. Ozdobi ciasto lukrem w domu, ale perły i lilie doda w kościele, w jednej z sal szkoły niedzielnej. Następnie wyjmie półki z lodówki w kościele i włoży całość do środka, tuż przed przybyciem całego tłumu na przyjęcie.

Ściągnęła z włosów siatkę i wsunęła ją do szuflady ze sztućcami.

Cztery przecznice na północ wujaszek Billy Watson zdjął z gwoździa na ścianie druciany wieszak i przyjrzał się uważnie czarnemu wełnianemu garniturowi, który odziedziczył po dawno zmarłym szwagrze. Jego ciężar obciągnął ramiona wieszaka, nadając całości posepny wygląd.

— Do licha — rzucił pod nosem.

Na prawej klapie widniała plama wielkości srebrnej monety jednodolarowej; wyglądała jak farba — a może pudding waniliowy? W piżamie podreptał do kuchni, gdzie było lepsze światło.

Panna Rose siedziała na krześle obok lodówki, obierając ziemniaki nożem tak tępy, że nie nadałaby się do krojenia masła.

— Co robisz, Billu Watsonie?

— Czyszczę ubranie.

— Zostaw w spokoju moje pranie! — zawołała z oburzeniem.

Jego żona robiła się głucha jak pień i nic nie mógł na to poradzić. Nie chciała nawet rozmawiać na temat aparatu słuchowego, a co dopiero pozwolić, żeby władze okręgu jej go zakupiły.

— Co nałożysz na ślub?! — krzyknął.

— Na jaki ślub?

— Ślub kaznodziei dzisiaj wieczorem o piątej!

— O piątej! — pisnęła. — To pora kolacji!

— Cóż, nic nie mogę na to poradzić. Nawet jeśli tak jest, to ślub księdza i idziemy.

Czyż nie mówił o tym aż do znudzenia, nawet wybrał trzy sukienki, które odrzuciła ze złością? A teraz to. Pokiwał głową i westchnął.

— Boże, miej litość.

— Jaka znowu kość? — chciała wiedzieć.

Starszy mężczyzna pocierał klapę marynarki moką ścierką. Bywały dni, że potrafił zrobić wesołą minę i zajmować się z powodzeniem własnymi sprawami, czasami jednak Rose Watson wystawiała na próbę jego cierpliwość, o tak. Będzie musiał pójść do kościoła dzisiaj rano i prosić o przebaczenie za to, co teraz myśli. Podziękuj również Panu za dowcip. Nikt mu nie powie, że Bóg Wszechmogący nie wysłuchuje głupich modlitw!

Cztery przecznice na północny zachód Hessie Mayhew leżała, chrapiąc na podwójnym łóżku ze spłowiełą flanelową pościelą i wiekowym materacem z Sears. Wzięła dwie kapsułki benadrylu wczoraj wieczorem, żeby zwalczyć katar w zatokach po całym dniu bawienia się z przywrotnikiem i hortensjami. Hortensje zawsze działały na jej zatoki, kapało jej z nosa ciurkiem, gdy przeczesywała podwórka mieszkańców miasteczka, biorąc, co chciała, bez pytania. Zapuściła się nawet za kaplicę metodystów, gdzie gęsty żywopłot hortensji rozkwitał imponująco każdego roku, i zerwała tyle ogromnych kwiatów, ile potrzebowała.

Ludzie wiedzieli, kim jest, wiedzieli też, czyj to ślub, więc gdyby zwróciła się do nich z prośbą o pozwolenie, odpowiedzieliby, proszę bardzo, bierz, co chcesz! Po co zatem prosić — to była jej dewiza! Ludzie powinni być dumni, że buszuje w ich kwiatach, skoro dają tyle szczęścia innym. „Uwierzycie — wyobrażała sobie, że kiedyś usłyszysz takie słowa — że Hessie Mayhew огоłociła dzisiaj wszystkie krzewy piwonii na moim podwórku i naprawdę jestem z tego powodu taka szczęśliwa!”

Jej zdaniem, hortensje miały już za sobą najlepsze dni i były trochę blade, ale czy ludzie, którzy ustalają datę ślubu, w ogóle myślą o takich sprawach? Oczywiście, że nie, idą za ciosem. Jeśli dożyje swojego kolejnego ślubu, na co czasami miała nadzieję, urządzi go w maju, kiedy kwitną konwalie.

Na jej osłoniętym siatką ganku pyszniła się rozsypująca się porcelanowa wanna z prawdziwym mazurem powojnika i hortensji.

W jej podwójnym zlewozmywaku w kuchni tawuła, jesienne zawilce, trybula leśna, piołun i rdest łapczywie piły wodę. Za tylnymi drzwiami czekały wiadra purpurowej rudbekii, jesiennego klematisu, oneńka i dzikich astrów. Na ladzie nad zmywarką stał garnek na zupę pełen różowego duetu i białej dzikiej róży, pomieszanych z włośnicą, słonecznikiem, kaliną i kiściami szkarłatki o intensywnych kolorach. Mały motylek, który wleciał do środka odurzony rudbekią, doszedł do siebie i przysiadł na piołunie.

O siódmej trzydzieści Hessie Mayhew przewróciła się na drugi bok, jęcząc lekko z bólu w krzyżach, i mimo że grupa pomocników miała przybyć o ósmej, ona nadal spała.

W swoim domu, niecały kilometr za miastem, Puny Guthrie skończyła drobić około dwudziestu paszków chrupkiego, najlepszego bekonu do sałatki ziemniaczanej i zamieszała ją dokładnie po raz ostatni. Wszyscy będą bardzo głodni o szóstej, szóstej trzydzieści, więc przygotowała dość jedzenia, żeby wykarmić armię, jak mawiał jej dziadek. Postanowiła nie dodawać cebuli, ponieważ było to przyjęcie ślubne i

bardzo eleganckie. Zawsze była zdania, że odświętne stroje i cebula nie stanowią dobrego połączenia. Cebula była dobra na piknik i spożywanie w domu, w gronie własnej rodziny.

Ponieważ Cynthia i ojciec nie chcieli, żeby ludzie przyszli na przyjęcie i wrócili do domu głodni, niedozwolone były dania do jedzenia na stojąco. Chcieli poczęstować wszystkich przyzwoitą kolacją, nawet gdyby goście musieli ją spożywać, siedząc na rozkładanych krzesłach ze szkoły niedzielnej. Biorąc pod uwagę szynkę ojca, drożdżowe bułeczki panny Louelli, surowe warzywa i dip panny Olivii, jej sałatkę ziemniaczaną i trzywarstwowe ciasto pomarańczowe Esther Bolick, uważała, że nikt nie będzie narzekał. Do tego dojdzie czterdzieści litrów herbaty, nie wspominając o kawie bezkofeinowej i sherry, jeśli ktoś będzie miał ochotę. Zupełnie jednak nie rozumiała, dlaczego ktokolwiek miałby być nią zainteresowany. Kiedyś wypłała łyk z karafki ojca Tima i uznała, że smakuje dokładnie jak folia aluminiowa, chociaż obojętnie nigdy nie próbowała folii aluminiowej, chyba że przylepiła się do pieczonego ziemniaka.

Przypomniała sobie swój ślub i to, jak szła środkiem kościoła, opierając się na ramieniu ojca Tima. Czowała się jak królowa, jakby miała dwa metry wzrostu, widząc wszystko i wszystkich zupełnie nowymi oczami. W połowie kościoła nieomal wybuchnęła płaczem, potem nagle uniosła się ponad płacz, do czegoś znacznie bardziej doniosłego, czegoś, co nieomal pozbawiło ją tchu, i wiedziała, że już nigdy nie przeżyje nic podobnego. Potem, gdy zwracała się do ojca Tima „ojcze”, ze zdziwieniem zauważyła, że wymawiała to słowo, jakby naprawdę był jej ojcem. Nie było to jakieś zwykłe religijne określenie, które wiązało się z jego koloratką. Od tamtej chwili czuła się tak, jakby była jego córką — w sposób, którego nikt poza nią nie był w stanie zrozumieć. I czyż to nie on odmówił tę modlitwę o paradę, która sprowadziła Joe Joe pod tylne drzwi i sprawiła, że zagościł w jej życiu już na zawsze? Sprzątała w toalecie na dole w domu pastora, gdy Joe Joe zjawił się pod tylnym wejściem, ponieważ nie słyszała jego pukania do drzwi z frontu. Gdy go zobaczyła, jej serce aż podskoczyło, ponieważ był najcudowniejszym, najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, jeśli nie liczyć programów telewizyjnych czy czasopism.

— Ojciec Tim mówił, że być może w kieszeni jego brązowych spodni jest opakowanie po batoniku, gdybyś mogła nam je podać, proszę.

Wiedziała od razu, że ten policjant został dobrze wychowany, skoro powiedział, „proszę”. Niewielu ludzi używało w dzisiejszych czasach tego słowa, nie mówiąc o „dziękuję”. Uważała, że to naprawdę wielka strata.

Zaprosiła go do środka i poczęstowała szklanką herbaty, a on przysiadł na krześle, na którym siedział ojciec Tim, gdy czytał pocztę. Ona poszła na górę, przeszukała kieszenie brązowych spodni i znalazła opakowanie. Po co ktokolwiek miałby nosić w kieszeni zwinięte opakowanie po batoniku...

— Przepraszam za fartuch — pamięta, jak powiedziała. Nigdy nie zapomni wyrazu jego oczu.

— Wyglądasz naprawdę ładnie w fartuchu — odparł, czerwieniąc się jak burak.

Nikt nigdy nie powiedział jej czegoś takiego, więc nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Podała mu opakowanie z batonika, a on włożył je do małej plastikowej torebki z hermetycznym zapięciem, nie odrywając od niej wzroku.

Miała wrażenie, że za chwilę się roztopi i zamieni w kałużę. Nagle zerwał się z krzesła i wybiegł za drzwi, a potem zniknął i na tym się skończyło. Aż do momentu, gdy wrócił następnego dnia, kiedy gotowała fasolę limeńską.

— Hej — przywitała go przez drzwi z siatką, gdy wbiegał po schodach.

Teraz wiedziała, że cała policja była zaangażowana w sprawę dużej kradzieży wartościowych kamieni w Lord's Chapel.

— Jesteś aresztowana — powiedział, ponownie oblewając się rumieńcem.

Przez chwilę myślała z przerażeniem, że może to prawda, a potem zauważyła szeroki uśmiech na jego twarzy.

— Pod jakim zarzutem?

— Hm, no cóż... — Spuścił głowę i wpatrywał się w swoje buty.

Pomyślała, że to musi być okropne — być dorosłym mężczyzną, który rumieni się jak uczennica. Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— Przekroczyłaś dozwolony limit piękności. Zachichotała.

— I co zamierzasz z tym zrobić? — Na litość, te słowa wyrwały się jej zupełnie bezwiednie.

— Hm, zamierzam zaprosić cię na film do Wesley, co ty na to?

— Pod warunkiem, że będzie dozwolony poniżej siedemnastu lat. Czy taki wybrałaś?

— Nie wiem — odparł, wyglądając na zaskoczonego.

— Mógłbyś sprawdzić w gazecie albo zadzwonić — powiedziała.

Z trudem była w stanie złapać oddech. Nigdy przedtem nie zauważyła, że mundur policyjny wygląda tak atrakcyjnie, miała wrażenie, że jest w domu na przepustce z wojska.

— Czy zgodzisz się pójść na, hm, dozwolony poniżej trzynastu lat?

— To zależy.

Dlaczego, na litość, była taka nieprzystępna? Jej usta wypowiadały słowa, które zdawały się w ogóle nie pochodzić od niej. Czowała się tak, jakby zawisała w powietrzu i nie mogła dotknąć palcami ziemi. Nagle zdała sobie sprawę, że ponownie ma na sobie fartuch, zerwała go gwałtownie i zdjęła przez głowę. Stała w miejscu, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

— Więc zaufaj mi — powiedział. — Znajdziemy dobry film, nawet gdybyśmy musieli pojechać aż do... — Zawahał się przez chwilę. — Johnson City!

— Dziękuję — zgodziła się. — Z przyjemnością wybiorę się z tobą do kina.

Gdy wyszedł, czuła się taka zamroczone i miała tak miękkie nogi, że zapragnęła się położyć, ale nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego w domu ojca Tima. Nawet nie siadała w pracy, chyba że obierała brzoskwinie albo łuskała fasolkę szparagową.

Obeszła kilka razy kuchnię, usiłując coś powstrzymać, chociaż sama nie wiedziała co. W końcu zawędrowała pod tylne drzwi, gdzie nagle to się z niej wyrwało.

Był to krzyk.

Przykryła miskę z sałatką ziemniaczaną plastikową pokrywką przypominając sobie, że stała przy drzwiach z siatką przez długi czas, a po policzkach płynęły jej łzy szczęścia.

Po tym, jak ich lot w sobotę został odwołany z powodu złej pogody, Walter i Katherine Kavanagh przybyli na lotnisko w Charlotte o 11.35 w niedzielę rano, po dodatkowym półtoragodzinnym opóźnieniu spowodowanym problemami technicznymi w La Guardia. Stali przy karuzeli z bagażami, wypatrując z niepokojem jej czarnej torby, która zawierała nie tylko błękitny kostium z tafty na ślub, ale również prezent, który z dużym poświęceniem postanowili przewieźć własnoręcznie, a nie wysłać.

— Poleciała do Charlottesville w Wirginii! — wykrzyknął urzędnik w biurze odbioru bagażu. — Co pani na to?

Z wysokości swojego metra osiemdziesiąt Katherine zmierzyła go spojrzeniem, które było w stanie oblodzić skrzydła 747.

— Czasami lecą do Charlestonu! — obwieścił, nie uginając się pod jej wzrokiem pełnym pogardy.

Był przyzwyczajony do pogardy; praca w dziale odbioru bagażu na lotnisku niosła ze sobą przede wszystkim pogardę.

Panna Sadie Baxter siedziała przy swojej toalecie w halce i szlafroku, niedaleko otwartego okna sypialni, którą zajmowała, odkąd skończyła dziewięć lat. Deszczowe chmury ustąpiły, słońce świeciło i ptaki śpiewały — czego więcej mógłby pragnąć albo o co jeszcze mógłby prosić zwykły człowiek?

Starannie ściągnęła za pomocą grzebienia siwe włosy ze szczotki, zwinęła je w niewielką kulkę i bezszelestnie upuściła do kosza na śmieci, ozdobionego wypłowiałą kalkomanią kwiatu kamelii.

Gdzie uciekły te wszystkie lata? Jednego dnia siedziała tutaj, czesząc włosy koloru kasztana, a następnym razem, gdy podniosła głowę, była stara i siwa. Pamięta, jak siedziała na tym samym krzeselku, spoglądając w to samo lustro, czytając list miłosny od Willarda Portera i wierząc, że jest piękna...

— Willard! — szepnęła, przypominając sobie list na trwale zapisany w pamięci, list, który napisał do niej w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin:

„Być może wiesz, że buduję dom w miasteczku, na łące, gdzie Amos Medford wypasał swoje krowy. Każdy kamień fundamentu położony został z nadzieją, że może jeszcze kiedyś będę mógł wyrazić ciuły szacunek, jakim Cię darzę, Sadie.

Zamierzam nadać temu domowi imię, ufając, że kiedyś nasze stosunki będą mogły się zmienić. Każę wyryć je na cedrowej belce, w najwyższym punkcie strychu, z nadzieją że kiedyś te słowa sprawią Ci odrobinę radości czy przyjemności.

Być może, jeśli taka będzie wola Boga, Twój Ojciec zobaczy wkrótce, że mam coś do zaoferowania, i ustąpi. Do tej pory, droga Sadie, mogę Ci ofiarować jedynie gorącą miłość i szczere oddanie”.

Wkrótce potem Willard zginął na wojnie i został pogrzebany w Francji, i wiele lat upłynęło, zanim dowiedziała się, jak brzmi imię domu wyryte na belce.

— „Bo oto minęła już zima...” — wyszeptała, wyglądając przez okno na sad.

Poznanie imienia domu — „Winterpast” — sprawiło jej ogromną radość i przyjemność.

— „...deszcz ustał i przeszedł. Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic, i głos synogarlicy już słychać w naszej krainie...”.

Czas śpiewu synogarlicy nadszedł już dla ojca i Cynthii. Panna Sadie spojrzała w lustro i uśmiechnęła się. Tak, nadszedł ich czas.

O czwartej piętnaście Cynthia przekonywała Katherine, że na kilka minut powinna zostawić ją samą. Tyle się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni i tygodni, tłumaczyła, że zupełnie brakuje jej tchu.

— A jeśli spadniesz ze schodów? — nie ustępowała Katherine. — Poza tym twoje włosy nadal są nawinięte na wałki!

Cynthia знаła Katherine zaledwie od dwóch godzin, ale już wiedziała, że jest kobietą, która nie rzuca słów na wiatr.

— Nie spadnę ze schodów — broniła się Cynthia. — A na ściągnięcie wałków wystarczy mi sekunda. Muszę przyznać, że wyglądasz olśniewająco w kostiumie Olivii, naprawdę, ten kolor niezwykle ci pasuje.

— W całym swoim życiu nie miałam na sobie nic tak krótkiego! — złościła się Katherine, spoglądając w duże lustro i obciągając spódnicę. — Wyglądam dokładnie jak Wielki Ptak, nie miałam pojęcia, że mam takie iksowate nogi. Cały kościół będzie oburzony, wasi przyjaciele pomyślą, że jesteśmy jakąś podejrzaną parą.

— Ależ oczywiście, że nie pomyślą nic takiego, nie mogli się już doczekać, kiedy was poznają.

Cynthia usiłowała skierować Katherine w stronę drzwi sypialni, która dzisiaj wieczorem będzie należała do Waltera i Katherine. Na chwilę obecną nie mieli swojego pokoju, biedactwa.

— Wyjmę twój bukiet z lodówki, w świetlicy parafialnej — zaproponowała Katherine. — Do zobaczenia w narteksie.

Co mogła począć z panną młodą, która chce być sama? Jeśli o nią chodzi, skrzyła kostkę dwadzieścia minut przed swoim własnym ślubem i gdyby nie otaczali jej przyjaciele, mogłaby nadal leżeć nad stawem rybnym w tym strasznym hotelu w górach Pocono.

Za pięć piąta ojciec Tim zapiął swoje francuskie spinki i wymienił znaczące spojrzenia z Walterem i biskupem.

Byli ściśnięci w zakrystii o rozmiarach metr osiemdziesiąt na dwa czterdzieści, jak sardynki w puszcze, pomyślał, i z trudem mogli złapać powietrze.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Do środka wdarł się dym z papierosa Avisa Packarda.

— Przepraszam — powiedział Avis.

Zaglądnął jednocześnie do zakrystii, by nacieszyć oczy widokiem, który się przed nim roztaczał. Oto stał tam ich papież, wystrojony w długą białą szatę i najdziwniej wyglądające nakrycie głowy, jakie kiedykolwiek widział, nie wspominając o długiej lasce zakrzywionej na końcu. Służyła prawdopodobnie do podrywania ludzi za szyję, gdy zdrzemnęli się w ławce. Avis zaciągnął się głęboko swoim pall malleem z filtrem i wyrzucił go w krzaki.

Punktualnie o piątej ojciec Tim usłyszał dźwięk organów. Co się działo? Dlaczego nikt nie podszedł do zewnętrznych drzwi zakrystii, żeby powiedzieć im, że panna młoda już przybyła?

— Nie wychodź! — nieomal krzyknął, gdy ręka biskupa zbliżyła się do drzwi prowadzących do świątyni. — Walter, znajdź, proszę, Katherine i dowiedz się, co się dzieje.

Ktoś przegapił jakiś sygnał. Czuł się dziwnie nieswojo. Pięc po piątej zjawił się zdezorientowany Walter.

— Katherine nie może znaleźć Cynthii. Miała się z nią spotkać w narteksie za pięć piąta.

Spóźniona dziesięć minut! Cynthia Coppersmith była wzorem punktualności.

Miał przecucie, i to złe.

— Zaraz wracam — zawołał, wybiegając przez otwarte drzwi.

— Idę z tobą! — zawołał Walter.

— Nie! Zostań tutaj!

Skierował się w górę Old Church Lane, przeciął park Baxter i wpadł biegiem na schody jej domu.

— Cynthia!

Drżał, otwierając nie zamknięte na klucz drzwi i wbiegając do holu. Stał przez chwilę, dysząc i nie mogąc zebrać myśli. Violet otarła się o jego nogę. Jakże żałował, że koty zawsze budzą w nim negatywne uczucia.

Wbiegł po dwa stopnie i skręcił w lewo do jej sypialni.

— Cynthia!

— Timothy!

Uderzała w drzwi łazienki od środka.

— Timothy! Nie mogę się stąd wydostać!

Zauważył leżącą na podłodze, cholerną gałkę do drzwi. Podniósł ją, wsunął trzon z powrotem w otwór i przekręcił gałkę w prawo. Drzwi się otwarły i zobaczył swoją pannę młodą w szydełkowym szlafroku, z różowymi wałkami we włosach i wyrazem rozpaczony na twarzy.

— Och, Timothy...

— Nic nie mów — polecił. — Nawet nie próbuj mi wyjaśnić. Jak mogę ci pomóc, co mam zrobić?

Pobiegła do szafy i wyjęła swój kostium.

— Mam już na sobie rajstopy, więc nie zaczynam od zera. Stań na zewnątrz, a ja się pośpieszę! Módl się za mnie, kochanie! Och, tak mi przykro, powinnam była pożyczyć coś niebieskiego na szczęście, co za galimatias...

Wyszedł na korytarz i spojrzał na zegarek. Piąta siedemnaście. Violet otarła się o jego kostkę. Czuł, jak zaciskają mu się szczęki.

— W porządku, możesz teraz wejść, mam już na sobie kostium, gdzie są moje buty, ach, na litość, skąd się tu wzięły, nie mogę w to uwierzyć, Timothy, nic nie mogłam na to poradzić, gałka po prostu odpadła, krzyczałam przez okno, ale nikt nie słyszał, to było straszne...

— Nic nie mów! — polecił, wchodząc do pokoju. Dlaczego zabraniał jej mówić? Niech się biedna kobieta wygada, jeśli ma na to ochotę! Bezsilny — tak się właśnie czuł.

Opadła na kanapkę przed swoją toaletką i obsypała pudrem twarz, następnie obrysowała kredką usta i nałożyła szminkę. Piąta dwadzieścia.

Potem zrobiła coś z rzęsami i powiekami. Piąta dwadzieścia dwie.

Rozpyliła perfumy o zapachu wistarii na nadgarstki i potarła je o siebie, a potem dotknęła nadgarstkami uszu.

Oczami wyobraźni widział, jak Stuart spaceruje nerwowo po zakrystii, Katherine załamuje ręce, Walter odchodzi od zmysłów, cała kongregacja wstaje z miejsc i wychodzi, szynka przykryta folią plastikową Saran Wrap leży porzucona w lodówce...

— Cynthia...

— Och, to po prostu straszne, okropne! — zawołała, kończąc malowanie rzęs drżącą dłonią. — I właśnie sobie przypomniałam, że nie powinienesz widzieć panny młodej przed ceremonią zaślubin!

— Za późno! — rzucił, spoglądając na zegarek. — Piąta dwadzieścia cztery.

— Już idę, już idę!

Wstała i pośpieszyła do niego.

— Wałki — wycedził, czując, jak szczęki zaciskają mu się jeszcze bardziej.

— Do licha!

Palcami wyrwała wałki z głowy niczym pióra z kurczaka i wyrzuciła je w powietrze. Frunęły po całym pokoju, opadając na podłogę jak deszcz; jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego.

— Nie ma czasu na rozczesywanie! — Spojrzała w lustro i przeczesła włosy palcami. — Proszę! To musi wystarczyć. Boże, miej mnie w swojej opiece!

Odwróciła się teraz do niego i poczuł, jak ogarnia go niewypowiedziana radość. Była tak zadziwiająco piękna, taka promienna, taka świeża, że zabrakło mu tchu. Dzięki niech będą Bogu, budyń powrócił...

Chwyciła leżącą na krześle torebkę.

— Możemy pojechać moim samochodem!

— Nie ma miejsca do zaparkowania!

— Więc — krzyknęła, gdy kierowali się w stronę schodów — kto pierwszy!

Rozdział dziewiąty

ŚLUB

W dziewiątym rzędzie po prawej stronie, obok okna witrażowego, które przedstawiało Chrystusa niosącego zgubioną owcę, Hope Winchester zarumieniła się na wspomnienie swojego kiedyś bardzo płomiennego uczucia do ojca Tima. Dołożyła wszelkich starań, aby nigdy się o tym nie dowiedział, i teraz wydawało się jej to idiotyczne, że kiedyś żywiła takie uczucie do kogoś, kto był od niej dwa razy starszy.

Pamiętała drzenie serca, gdy wchodził do księgarni, i całą wyteżoną pracę, żeby nauczyć się wyjątkowych słów, które by go zaintrygowały. Nigdy by się do tego nikomu nie przyznała, ale w swojej opinii była jedyną osobą z Mitford, z którą może on rozmawiać jak równy z równym. Gdy dowiedziała się o Cynthii kilka miesięcy temu, zmusiła się, żeby w ogóle przestać myśleć o takich głupstwach, i była teraz prawdziwie szczęśliwa, że on i jego sąsiadka się odnaleźli. Wyglądali na idealną parę.

Mimo to nadal czasami tęskniła za starym nawykiem wyglądania przez okno, jak będzie przechodził i pomacha do niej albo zajrzy do środka; i brakowało jej rozmyślenia, którą książkę mogłaby zamówić, żeby sprawić mu przyjemność i niespodziankę.

Nie żeby kiedykolwiek pragnęła wyjść za niego za mąż, na litość boską, albo żeby była w nim zakochana; był po prostu taki uprzejmy i delikatny i sprawiał, że czuła się wyjątkowa. A na dodatek był do niej bardzo podobny, głęboki i wrażliwy, nie wspominając o tym, że był wielbicielem poetów romantycznych, za którymi ona przepadała od szkoły średniej. Dość wcześnie postanowiła, że przeczyta ponownie Wordswortha — co uczyniła i płakała nad wierszami o Lucy — żeby móc zacytować wybrane fragmenty i znaleźć jakieś perły, które przemówiłyby do jego wyobraźni.

— Porzućcie „zgiełk zaciekły”*! — zawołała kiedyś, gdy zjawił się w drzwiach Księgarni Szczęśliwych Zakończeń.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Wordsworth! — wykrzyknął wyraźnie zadowolony.

* „Zgiełk zaciekły” — frazę z *Wierszy ułożonych kilka mil nad klasztorem Tintern* Williama Wordswortha, w tłumaczeniu Czesława Miłosza, zaczerpnięto z książki *Poeci języka angielskiego*, op. cit.

Ilu ludzi rozpoznałoby dwa małe słowa spośród tysięcy wersów poety? Była najnormalniej w świecie oczarowana.

Otwierając torebkę, przyglądnęła się uważnie jej zawartości w poszukiwaniu chusteczki higienicznej, którą włożyła w ostatniej chwili. Chociaż uważała, że płacz na ślubie jest pozbawiony sensu, stwierdziła, że rozsądnie będzie się przygotować.

W czwartym rzędzie po prawej stronie Gene Bolick zastanawiał się, co u licha się dzieje. Na zegarku miał piątą piętnaście. Znał Richarda na tyle dobrze, że wiedział, iż jest blady od niczym nieprzerwanej gry na organach przez cały ten czas.

Spojrzał ponownie na żonę biskupa, która siedziała z pochyloną głową. Czyżby modliła się, żeby ojciec nie stchórzył w ostatniej chwili? Czyż nie byłoby to naprawdę paradne, gdyby ich ksiądz siedział właśnie w samolocie w drodze na Azory? Nie wiedział, gdzie dokładnie leżą Azory, ale wydawało mu się, że to dość daleko.

Zdając sobie sprawę, że ma mocno zaciśnięte pięści i spocone dłonie, zmusił się, by skupić uwagę na trzywarstwowym cieście pomarańczowym, które znajdowało się obecnie w lodówce w świetlicy parafialnej i wyglądało imponująco. Miał nadzieję na litość boską, że temperatura jest właściwie ustawiona i nikt jej przez przypadek nie przestawił na super chłodzenie, co kiedyś spowodowało, że dwieście kanapek z serem pimiento zmroziło się i swoją twardością przypominało krążki do hokeja. Szturchnął łokciem Esther, najwyraźniej śpiącą w cieniu ronda swojego kapelusza, który nakładała wyłącznie na śluby i pogrzeby.

Esther nie spała, myślała i postanowiła zignorować to szturchnięcie. Czyż nie zasługiwała na to, żeby sobie posiedzieć i trochę odpocząć, aż ci ludzie zrobią, co do nich należy i będzie już po wszystkim? Myślała, że być może użyła zbyt dużo cukru; wiedziała, że ojciec Tim nie lubi za dużo cukru, ale dlaczego po tych wszystkich latach i upieczeniu setek ciast nadal się martwiła i zadreślała swoją pracą, jakby nigdy w życiu nie upiekła ani jednego ciasta? Niektórzy nazywali ją ekspertem, ale kto mógłby się czuć ekspertem w materii tak niewdzięcznej i kapryśnej jak ciasto, jeśli wziąć pod uwagę — jak zawsze się tego obawiała — że ciasta mają własną wolę? Używa tych samych składników w takiej samej ilości, raz, drugi, trzeci, i czy jej ciasta są kiedykolwiek identyczne? Nie, uważa, że nie.

Gene zawsze był jej wyrocznią w tej sprawie i jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Gene potrafił spróbować ciasto i jego wzrok zaczynał wędrować po pokoju, jakby ten kęs przenosił go w jakąś krainę wędrujących myśli i leniwych spekulacji. Po chwili wracał na ziemię. „Bije wszystkie poprzednie!”, brzmiała na przykład jego ocena albo „Absolutnie doskonałe!”

Bez względu na to, co powiedział, zawsze poważnie się nad tym zastanowił i dokładnie przemyślał, i zawsze mogła polegać na jego zdaniu — a to więcej, niż dało się powiedzieć o mężach większości kobiet. Weźmy na przykład ojca Tima. Jego żona będzie mogła na nim polegać — pozostawało jedynie pytanie, czy zasługiwała na taką nagrodę? Wydawało jej się, że tak, miała taką nadzieję; uwielbiała Cynthię, ale czy jej mąż, który był senatorem, a może kongresmanem, nie uganiał się za innymi kobietami? Co to miało znaczyć? Cynthia nie wyglądała na zimną rybę — raczej wręcz przeciwnie.

A poza tym, czy ich pastor nie miał dość rozumu, żeby samemu zdecydować, z kim chce spędzić resztę życia? I czyż w ciągu ostatnich kilku miesięcy ona i wszyscy inni w parafii nie słyszeli, jak się śmieje i żartuje jak nigdy dotąd?

Boże, miej litość, to chyba powojnik sprawia, że pieką ją oczy i cieknie jej z nosa. Powojnik w połączeniu z liliami był zmorą jej życia, a nikt nie był na tyle uprzejmy, żeby usunąć pyłek z pylników. W rezultacie unosił się on w powietrzu jak tabaka, a ona nie miała w torebce swoich leków antyalergicznym i było już za późno, żeby cokolwiek zrobić.

Do nawy Lord's Chapel, gdzie stała nie mieszcząca się w narteksie część odzianego w szaty i oczekującego w pełnej gotowości chóru, wszedł Pete Jamison. Zawstydzony spóźnieniem przecisnął się przez tłum pod tylną ścianę i stanął tam pełen czci i wzruszenia. Czuł się tutaj obco, a zarazem dziwnie w domu. Zdał sobie sprawę, że oddycha płytko i nerwowo, być może dlatego, że biegł od Collar Button, gdzie zaparkował samochód, pokonując odległość co najmniej przecznicy — a może z powodu ekscytacji, jaką odczuwał, będąc tu po raz pierwszy od chwili, gdy jego życie odmieniło się na zawsze?

W drugim rzędzie z przodu siedziała panna Sadie, trzymając się za ręce z Louellą, nieświadoma upływającego czasu i wsłuchana w muzykę. Nie miała wątpliwości, że uczucia, jakie rodziły się w jej sercu, były dokładnie takie, jakich doświadczałyby każda dumna matka.

Ojciec Tim nie był przecież jedynie jej księdzem, jej bratem w Chrystusie i jednym z najdroższych przyjaciół w jej życiu, był również trochę jak jej syn. Któż inny biegłby na wzgórze w ulewnym deszczu, żeby opróżnić garnek na zupełnie pełen deszczówki kapiącej z dziury w suficie? I któż inny siedziałby godzinami, słuchając jej opowieści i wyglądając na szczerze zainteresowanego? Bóg nie uznał za właściwe, żeby pobłogosławić ją własnymi dziećmi, ale dał jej Oliwię Harper i Timothy'ego Kavanagha! I ponieważ pomagała wychowywać Louellę od urodzenia, mogła nieomal uznać swoją sąsiadkę z ławki za własne dziecko — Bóg jej świadkiem, że nie miała jeszcze dziesięciu lat, gdy zaczęła zmieniać pieluchy i ubierać to małe czarne dziecko, jakby było jej własnym!

Panna Sadie otarła łzę chusteczką, którą starannie dobrała na tę okazję — w kształcie kwadratu z koronką dookoła, z białego irlandzkiego płótna, z monogramem z inicjałami jej matki. Obróciła się następnie i z dumą spojrzała na Louellę, która wyglądała kwitnąco w sukience koloru lawendy.

Dooley Barlowe przełknął z trudem. Byłoby dobrze, gdyby wszystko zaczęło się zgodnie z planem, ale oto jest już dwadzieścia pięć po piątej i kto wie, gdzie jest Cynthia i ojciec Tim. Może się przestraszyli i uciekli albo się pokłócili i postanowili zrezygnować ze ślubu? Czuł się głupio, siedząc w pierwszej ławce. Spędzili ich tutaj i kazali im czekać jak stada baranów przy akompaniamencie muzyki organowej. Tak bardzo chciał skorzystać z toalety, ale gdyby teraz próbował dostać się do świetlicy parafialnej, wszyscy wiedzieliby, gdzie idzie.

Skrzyżował nogi, zacisnął oczy i zaczął huścić nogą oraz powtarzać swój tekst.

Wielebny Absalom Greer specjalnie wszedł do nawy za Sadie Eleanor Baxter, chociaż starał się zachowywać tak, jakby nie miał pojęcia, że ona znajduje się gdzieś w pobliżu. Szedł za nią, żeby mógł zająć za nią miejsce i jeszcze raz na nią spojrzeć. Kto wie, kiedy Bóg wezwie go do siebie i może to będzie jego ostatnia szansa na ziemi, żeby ujrzeć jej twarz?

Wyszło tak, że pierwszy wszedł do ławki za tą, którą zajęła ona, co oznaczało, że musiał usiąść na samym końcu, przy witrażu przedstawiającym Jezusa obmywającego stopy uczniom. Uważał to miejsce za prawdziwe błogosławieństwo od Boga, ponieważ mógł ją oglądać z profilu, a nie patrzeć na jej mały siwy koczek z tyłu głowy.

Absalom czuł takie poruszenie w sercu, jakby miał czternaście lat i wspinał się na Hogback, aby odwiedzić Annie Hawkins, niosąc dwie ustrzelone przepiórki i całą masę rzepy w worku. Mama Annie zmarła na zapalenie płuc, a o jej tacie nic nie było wiadomo od czasu powodzi, i ponieważ Annie musiała wychować całą gromadkę braci i sióstr, nigdy nie wybierał się do Hogback bez zapasów. Kiedyś zabił jelenia i pomógł go jej oskórować, pociąć mięso na paski i wysuszyć na słońcu.

Potrzebował trzech lat, żeby zapomnieć o grubokościstej, nie przebierającej w słowach Annie Hawkins, ale nigdy nie udało mu się zapomnieć o Sadie Baxter. Sadie wypełniała jego sny, bezsenne godziny i modlitwy przez lata; żywił żarliwą nadzieję, że zdoła zapomnieć o Willardzie Porterze i poślubi jego. W końcu ta nadzieja zamieniła się w rodzaj tłącego się żaru, który spoczywał na dnie jego serca jak żarzące się węgielki i sprawiał, że czasami wypływał na jego usta uśmiech, on kiwał głową i wypowiadał szeptem jej imię. Wyznał tę uporczywą i smutną miłość jedynie Wszechmogącemu i nigdy nie powiedział o niej drugiemu człowiekowi, chociaż czasami jego siostra Lottie domyślała się jego uczuć i ganiła go zimnym spojrzeniem.

Wielebny Greer usiadł sztywno w skrzypiącej ławce i kiwnięciem głowy przywitał sąsiadów, następnie pochylił głowę i modlił się za swojego drogiego brata w Panu, Tima Kavanagha, najszlachetniejszego człowieka pod słońcem z łaski Boga, amen. Gdy uniósł głowę i spojrzał na profil Sadie oraz czuły uśmiech na jej twarzy, łzy natychmiast napłynęły mu do oczu i wyjął z kieszeni chusteczkę, którą Lottie wykrochmaliała i wyprasowała tak, że chrzęściła jak papier, i podziękował Panu Jezusowi, że nadal ma oczy, żeby widzieć, i łzy, żeby je ocierać, alleluja.

Pete Jamison, mimo że mierzył metr osiemdziesiąt sześć, uniósł się na czubkach palców, żeby ujrzeć pierwsze ławki po lewej stronie kościoła. Znalazł ławkę, w której siedział w dniu, gdy zawędrował, zaniepokojony i zrozpaczony, do ciemnego kościoła. Było to w okolicy Święta Dziękczynienia i na ziemi leżał śnieg. Pamiętał, że zwrócił uwagę na swoje ślady prowadzące do kościoła, gdy wychodził stąd jako odmieniony człowiek, któremu wszystko wydawało się świeże i nowe.

Ukląkł tego dnia i krzyczał do Boga, zadając mu proste pytanie: „Czy jesteś tam na górze?” Nie próbował niczego dostać od Boga, nie prosił o pieniądze ani o sukces, chociaż wtedy bardzo ich potrzebował, chciał po prostu wiedzieć — w całym swoim życiu niczego tak usilnie nie pragnął się dowiedzieć — czy Bóg jest tam na górze. Bez żadnych — czy, i, ale — tylko po prostu: tak lub nie. Teraz znał odpowiedź bardziej pełnie, niż kiedykolwiek mógł mieć nadzieję, czy też oczekiwać, że ją pozna.

Poczuł, że łzy zamazują mu obraz i że jego serce przepęlnia czułość. Muzyka zaczynała go wypełniać, zaczynał słyszeć ją pomimo głośnego bicia serca i był szczęśliwy, że czuje radość tej chwili i miejsca, jak gdyby mogło — w jakiejś malutkiej części — należeć również do niego.

Stojąc przed drzwiami kościoła w ciepłe wrześniowe popołudnie, Katherine Kavanagh ujrzała pannę młodą i pana młodego, dosłownie pędzących ulicą, i stłumiła okrzyk ulgi. Po raz setny obciągnęła spódnicę i usiłowała rozluźnić napięte ramiona, żeby jej żakiet opadł poniżej talii. W ciągu tego desperackiego, półgodzinnego oczekiwania na Cynthię zdecydowała, co ma zrobić. Jak tylko znajdzie się w domu, poda do sądu linie lotnicze, którym te przestępcze praktyki uchodziły na sucho zbyt długo.

Chociaż miała ogromną ochotę podbiec do Cynthii i przywitać ją, doszła do wniosku, że to spontaniczne zachowanie spowodowałoby jedynie, że jej spódnica uniosłaby się do góry. Stała zatem nieruchomo jak posąg, obserwując, jak panna młoda biegiem pokonuje ostatnią prostą.

Siedząca przy przejściu po prawej stronie kościoła Emma Newland podskoczyła jak oparzona, gdy donośnie zagrzmiały organy. Ekumeniczny chór złożony z trzydziestu siedmiu głosów nareszcie miał okazję zademonstrować swoją klasę, sprawiając, że całą kongregację przeszył prąd, jakby ktoś wystrzelił z armaty.

Wszyscy powstali z miejsc i dołączyli do chóru śpiewającego pieśń numer 410, z ogromną swobodą i zdecydowaną ulgą:

Chwał, o duszo moja, niebios Króla,

U stóp Jego hold swój złóż;

Wolna, czysta i zbawiona,

Chwałę Jemu zawsze mnóż.

Alleluja, alleluja!

Chwał wiecznego Króla!

Dooley Barlowe poczuł, że coś dzieje się z czubkiem jego głowy. Otworzył usta i usłyszał, jak płyną z nich słowa śpiewane silnym i spokojnym głosem, który z trudem rozpoznawał:

Chwał za łaskę i przychyłność swym ludziom w potrzebie;

Chwał Go zawsze i tak samo,

On twe dobro ma na względzie.

Alleluja, alleluja,

Zawsze z tobą, wszędzie.

Dooley uważał, że głos ojca Tima niesie się głośno i czysto z miejsca, w którym stoi z biskupem i Walterem, przy balustradzie. Biskup był wystrojony w naprawdę dziwne nakrycie głowy, ale poza tym wyglądał świetnie. Jeśli chodzi o ojca Tima, nigdy wcześniej nie widział go w smokingu i wydawało mu się, że wygląda... inaczej, może jakby przystojnie.

Niepokój w jego żołądku ustąpił; nagle poczuł się wysoki i zwycięski, i zapomniał, że musi iść do toalety.

Hessie Mayhew spojrzała na Stuarta Cullena, który wydawał jej się wyjątkowo przystojny, i pomyślała, że to cholernie dobrze, iż duchowni w Kościele episkopalnym mogą się żenić, ponieważ w przeciwnym razie mogłoby to wywołać niezłe zamieszanie. Nigdy nie uganiała się za duchownymi jak niektóre

kobiety, ale nie mogła też zaprzeczyć ich ogromnej atrakcyjności. W każdym razie, kto chciałby się połączyć węzłem małżeńskim z księdzem i skończyć z całą chmarą ludzi z Kościoła, którzy nie dają ci spokoju ani w dzień, ani w nocy? Stań na czele tego, zostań przewodniczącą tamtego! O nie, w rzeczy samej, duchowni nie są dla niej, bardzo dziękuję.

Uniosła lekko chustkę znad miejsca na szyi, na którym pojawiła się dziwna wysypka, uznając ją za jeden z minusów swojego zawodu, i miała nadzieję, że biskup zauważył kwiaty i że ktoś powie mu o Hessie Mayhew, która nawet jeśli należy do prezbiterian, zna się trochę na właściwym i stosownym przyozdobieniu kościoła.

Z aniołami wielbmy Go;

Co widują Jego twarz;

Słońca i księżycy pokłon,

Tych, co zawsze będą trwać.

Alleluja, alleluja!

Chwalcie z nami Boga łask.

Jena Ivey uważała, że absolutnie nie ma słuchu, i wolała przyglądać się witrażowi przez czas trwania pieśni. Witraż przedstawiał chrzest Chrystusa, podczas gdy Jan Chrzciciel stał na brzegu w stroju ze skóry zwierzęcia. Wydawało się jej, że Jan Chrzciciel mógłby się prezentować lepiej, skoro to Pan Jezus przyjmował chrzest. Święty Jan musiał przecież wiedzieć, że właśnie wtedy przyjdzie, na litość boską. Wystarczy spojrzeć na Trzech Mędrców ze Wschodu, którzy zawsze wyglądali na ładnie przystrzyżonych, mimo że jechali na wielbłądach przez dwa lata.

Dźwięk trąbek, jaki rozległ się w odległości zaledwie jednego metra od niej, przestraszył ją, wywołując jednocześnie gęsią skórkę i dzikie bicie serca.

Potem nagle środkiem kościoła przemknęła z niezwykłą prędkością starościna. Jena nie miała pojęcia, kim jest ta kobieta wysoka jak żyrafa. Zawsze tak było ze ślubami — pojawiali się na nich ludzie, których nigdy przedtem nie widziałeś i których już nigdy miałeś nie zobaczyć.

Emmie wydawało się, że starościna przemknęła obok, jakby jej się śpieszyło do pożaru, udaremniając szansę przyjrzenia się kusej linii kostiumu Katherine Kavanagh albo sprawdzenia, jakie ma na sobie buty. Udało jej się jednak poczuć nutę czegoś, co z pewnością nie było kwiatami — były to zdecydowanie perfumy, być może z Macy's albo coś takiego.

Następnie przeszły Rebecca Jane Owen i Amy Larkin. We włosach miały aksamitne kokardki w kolorze zielonych jabłek Baxter. O ile Emma była w stanie ocenić, tonęły w kwiatkach. Można by pomyśleć, że Hessie Mayhew mogła zmniejszyć trochę parametry dla dzieci, ale nie, skąd, Hessie jeszcze je podwyższyła. Ta dwójka dzieci najnormalniej zataczała się pod ciężarem czegoś, co wyglądało na dwa całe krzewy hortensji.

Szturchając łokciem Harolda, żeby zrobił to samo, Emma obróciła głowę, żeby zobaczyć pannę młodą podążającą za nieliczną świtą.

Cynthia Coppersmith była zarumieniona jak dziewczynka — jej oczy błyszczały, na twarzy malowała się nadzieja, jej włosy okalały twarz wilgotnymi lokami, jakby właśnie wygrała w berka. Emma uważała, że Cynthia wygląda najwyżej na szesnaście lat, a jej kostium był dokładnie koloru jej ulubionej kredki w pierwszej klasie — akwamarynu. Wydawało się, że porusza się szybko, ale to nic złego — czy ona sama nie biegła na złamanie karku, żeby poślubić Harolda Newlanda, spragniona uczucia po dziesięciu latach życia jako wdowa i zachwycona perspektywą że będzie się miała do kogo przytulić nocą?

Emma wychyliła się z ławki, żeby zobaczyć ojca Tima, kiedy panna młoda zbliżała się do ołtarza. Wyraz jego twarzy sprawił, że miała ochotę zamknąć oczy, jakby stała się świadkiem czegoś niezwykle cennego i prywatnego.

— Drodzy umiłowani, zebraliśmy się tutaj w obecności Boga, aby być świadkami i pobłogosławić połączenie tego mężczyzny i kobiety w świętym związku małżeńskim. Wiąż i przymierze małżeństwa zostały ustanowione przez Boga przy stworzeniu świata i nasz Pan Jezus Chrystus uświęcił ten sposób życia poprzez swoją obecność i pierwszy cud w Kanie Galilejskiej. Symbolizuje on tajemnicę więzi pomiędzy Chrystusem i Jego Kościołem, a Pismo Święte poleca, aby był czczony przez wszystkich ludzi. Jedność kobiety i mężczyzny, ich serca, ciała i umysłu została zaplanowana przez Boga dla ich wzajemnej radości; aby wzajemnie sobie pomagali i byli dla siebie pocieszeniem w chwilach dobrych i złych; a gdy jest to wola Boga, dla prokreacji, i aby wychowali dzieci w znajomości i miłości Pana. Dlatego sakramentu małżeństwa nie należy zawierać lekkomyślnie ani pochopnie, ale z należnym szacunkiem, rozważą i zgodnie z celami, dla których został on ustanowiony przez Boga. Dzisiaj stają przed nami Cynthia Clary Coppersmith i Timothy Andrew Kavanagh, aby połączyć się w tym świętym związku...

Wujaszek Billy Watson miał nadzieję i modlił się, żeby jego żona nie zasnęła i nie zaczęła chrapać; sam z trudem pokonywał senność. Siedzenie z tyloma ludźmi w dusznym kościele, w duszne popołudnie to nieomal więcej, niż człowiek jest w stanie znieść. Usiłował zachować przytomność umysłu, zadając sobie proste pytanie: Gdy nadejdzie właściwa pora, zje szynkę z musztardą czy bez?

— Cynthio, czy bierzesz sobie tego mężczyznę za męża i obiecujesz żyć z nim w przymierzu małżeństwa? Czy będziesz go kochała, pocieszała, czciła i opiekowała się nim w zdrowiu i w chorobie; i wyrzekając się wszystkich innych, będziesz mu wierna po wszystkie dni życia?

Winnie Ivey przyłożyła dłonie do serca i poczuła, jak po policzkach płyną jej gorące łzy. I tylko pomyśleć, że Bóg dał taką radość ludziom tak dojrzałym jak ona, i przecież nie młodzikom...

Przysięga panny młodej rozległa się czysto w nawie:

— Tak!

— Timothy! Czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę i obiecujesz żyć z nią w przymierzu małżeństwa? Czy będziesz ją kochał, pocieszał, czcił i opiekował się nią w zdrowiu i w chorobie; i wyrzekając się wszystkich innych, będziesz jej wierny po wszystkie dni życia?

— Tak!

— Czy wy wszyscy, którzy zostaliście wezwani na świadków, zrobicie wszystko, co w waszej mocy, żeby wspierać te dwie osoby w ich małżeństwie?

— Tak!

Po odpowiedzi kongregacji Dooley Barlowe szybko opuścił pierwszą ławkę przy drzwiach do zakrystii i zajął miejsce przed balustradą przed ołtarzem. Gdy zwrócił się w stronę krzyża i pochylił głowę, jedno kolano zdrząło mu lekko, ale wyprostował je i odetchnął głęboko.

Panie, nie pozwól mi tego sknocić, modlił się w duchu, a potem otworzył usta i zaczął śpiewać:

*Miłości doskonała, ponad umysł,
W modlitwie przed tronem Twym klękamy,
By nigdy końca nie знаła miłość tych,
Co jak jedno idą w Twe bramy.*

To wszystko wygląda ślicznie, myślała Emma, ale jedno wie na pewno — nigdy nic z tego nie będzie, jeśli Cynthia będzie sobie siedziała i malowała koty, podczas gdy jej mąż będzie czekał na obiad! O Boże, znowu to robiła i tym razem zupełnie bezwiednie krytykowała osobę, o której nie można było powiedzieć ani jednego złego słowa. Zamknęła oczy i prosiła Boga o przebaczenie.

Trzymała się swoich zastrzeżeń tak kurczowo, jak sknera ostatniego grosza, ale poczuła, jak w jej sercu coś w końcu ustępuje, jakby ktoś otworzył śluzę, i wiedziała nareszcie, że szczerze aprobuje związek, który zwiąże serce jej księdza na całą wieczność. Niezadowolona z siebie, że zapomniała zabrać prawdziwą chusteczkę, Emma osuszyła oczy zwiniętą w kulkę serwetką z Pizza Hut.

*Życie doskonałe, Ty im nie żałuj,
Czulej dobroci i wytrwałej wiary,
Cierpliwości i nadziei w trwaniu,
Jak ufne dzieci, co złego nie znały.*

Pete Jamison zastanawiał się nad słowami, jak ufne dzieci, co złego nie znały" i wiedział, że właśnie to otrzymał tego dnia, gdy krzyczał do Boga w tym miejscu i Bóg odpowiedział mu, przysyłając ojca Kavanagha. Pamiętał wyraźnie, co powiedział ojciec: „Być może zadaje pan niewłaściwe pytanie. Być może pytanie, które chce pan zadać, brzmi: »Czy jesteś tu na dole?«"

Tamtego dnia odmówił z ojcem modlitwę, bardzo prostą, i już na zawsze stał się innym człowiekiem, który mógł stać teraz w tym miejscu, wiedząc na pewno, że tak, Bóg jest tu na dole i zawsze z nami. Pamiętał modlitwę, jakby wypowiedział ją zaledwie wczoraj. „Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz, i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela. Teraz, jako Twoje dziecko, zawierzam Ci całe swoje życie. Amen". Nigdy nie był człowiekiem skłonny zawierzyć cokolwiek, ale tego dnia zawierzył wszystko. Gdy w kościele zapanuje cisza i skończy się uroczystość, podejdzie do przodu, uklęknie w miejscu, w którym klęczał wtedy, i zanie sie podziękowanie.

Gene Bolick zastanawiał się, jak mężczyzna w wieku ojca Tima będzie w stanie spełniać swą małżeńską powinność. Jeśli chodzi o niego, wszystko, na co miał ochotę wieczorem, to ułożyć się w swoim fotelu po kolacji i spać, aż będzie czas na to, żeby położyć się do łóżka. Może ojciec wie coś, czego on nie wie...

Louella słyszała, jak ludzie wokół niej pociągają i dmuchają nosy, wszyscy dawali upust emocjom. A panna Sadie — ona była z całej tej zgrai najgorsza. Płakała w chusteczkę swojej mamy, że hej. Panna Sadie kochała tego małego, rudowłosego chłopca z piegowatą twarzą, ponieważ przypominał jej Willarda Portera, który był twardy jak Dooley i ostatecznie udało mu się coś osiągnąć.

Louella uważała, że panna Cynthia wygląda pięknie w swoim strojnym kostiumie. I ta niewielka ilość połyskującej nitki w tkaninie, i te ozdobne guziki, tak, to było coś, to było ładne, i proszę bardzo, nie miała na stopach butów farbowanych pod kolor, tylko czarne czółenka, najbardziej eleganckie, jakie można sobie wyobrazić. Louella wiedziała z czasopism, które panna Olivia przynosiła do Fernbank, że buty farbowane pod kolor są już niemodne.

Wydawało się jej, że pociąganie nosami z każdą minutą się nasilało. Nic dziwnego — tylko posłuchajcie, jak ten chłopiec śpiewa! Louella oparła się wygodnie w ławce, osobiście dumna z Dooleya, panny Cynthii, ojca i całego tego niesamowitego ślubu.

Decydując się ostatecznie na musztardę, wujaszek Billy skończył swoją grę. Powinien chyba wymyślić coś lepszego, żeby pokonać senność, bo w przeciwnym razie zapadnie w sen tak głęboki, że będą musieli wylać mu wiadro wody na głowę. Postanowił ćwiczyć w myślach swój główny dowcip, a jeśli to nie zadziała, będzie po nim.

*Daj im radość, co koi ziemski smutek,
Daj im spokój, co wygra z życia znojem,
I każdemu dniowi piękny nowy ranek,
Wschód nad wieczną miłością i życiem.
Amen.*

Dooley wrócił do ławki, nie czując pod stopami podłogi. Ze zdziwieniem zauważył, że drży, jakby był pod napięciem. Ale to nie był strach, już nie, to było... coś innego.

Ojciec Tim ujął prawą dłoń Cynthii i uważnie wymówił słowa, o których nigdy nie pomyślał, że mogą być jego własnymi:

— W imię Boga, ja, Timothy, biorę cię, Cynthio, za żonę, abyś była moja na zawsze, na dobre i na złe, w dostatku i w ubóstwie, w zdrowiu i w chorobie, i ślubuję ci miłość i wierność, póki śmierć nas nie rozłączy. Tak uroczycie ślubuję.

Rozluźnili na chwilę uścisk, a delikatny ruch spowodował, że zachwiały się płomień świecy na ołtarzu. Następnie ona ujęła jego prawą dłoń.

— W imię Boga, ja, Cynthia, biorę cię, Timothy, za męża, abyś był mój na zawsze, na dobre i na złe, w dostatku i w ubóstwie, w zdrowiu i w chorobie, i ślubuję ci miłość i wierność, póki śmierć nas nie rozłączy. Tak uroczyste ślubuję.

Gdy Walter podawał obrączkę panu młodemu, biskup uniósł prawą dłoń.

— Pobłogosław, Panie, te obrączki na znak przymierza zawartego pomiędzy tym mężczyzną i kobietą, które połączyło ich na wieki; przez Jezusa Chrystusa naszego Pana, Amen.

— Cynthio, daję ci tę obrączkę na znak mojego ślubowania i wszystkim, czym jestem, i wszystkim, co mam, wielbię cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Poczuła, jak stara obrączka wślizguje się na jej palec; wydawała się lekka jak piórko, niczym obrączka z jedwabiu.

Następnie Katherine wysunęła się do przodu, podając ciężką złotą obrączkę z delikatnie wygrawerowanym napisem wewnątrz: „Na całe życie, a potem na zawsze”.

— Timothy... daję ci tę obrączkę na znak mojego ślubowania, i wszystkim, czym jestem, i wszystkim, co mam, wielbię cię w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Hessie Mayhew była przekonana, że biskup patrzył jej prosto w oczy, gdy wypowiadał te słowa:

— Teraz, gdy Cynthia i Timothy ofiarowali się sobie wzajemnie poprzez złożenie uroczystych ślubów, przez połączenie rąk i przez wymienienie obrączek, ogłaszam ich mężem i żoną w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

— Tego, co Bóg złączył... niech człowiek nie waży się rozłączać.

Dooley poczuł przyjemne ciepło na twarzy i w uszach, i usłyszał głośne bicie serca. Nie, to już nie był strach, to było coś innego. Pomyślał, że wie już, co to.

To było coś może jak... szczęście.

Rozdział dziesiąty

POCZĄTEK

Henry Oldman wyjechał po nich na lotnisko letniskowym samochodem Cullenów, turkusowym chevy impala z 1981 roku, przy którym buick pastora prezentował się idealnie.

Mieli go używać przez tydzień, więc podwieźli Henry'ego do jego zadbanego domku ze stodołą na dwie krowy i ogródkiem wielkości dwudziestu arów. Kiedy Cynthia gawędziła z panią Oldman, Henry udzielił mu instrukcji.

- Nowe opony — wyjaśnił Henry, kopiąc zręcznie to, o czym mówił.
- Cudownie!
- Nowy pasek klinowy.
- Wspaniale!
- Pani Oldman wyprała pokrowce na fotele.
- Wyśmienicie. Miło mi to słyszeć.
- Pleśń.

Henry, złota rączka, który pracował dla Cullenów przez nieomal pięćdziesiąt letnich wakacji w Maine, mierzył go dokładnie wzrokiem. Przynajmniej tak mu się wydawało. Próbuje ocenić, czy będzie właściwym użytkownikiem dla tak wspaniałego sprzętu.

— Zamieszkacie w dużym domu, nazywają go głównym. Pani Oldman wyposażyła waszą lodówkę w kilka rzeczy. Sok i płatki śniadaniowe, i tym podobne.

— Bardzo wam dziękujemy.

Henry uchwycił palcami dolną wargę.

— Drzwi pralki odpadają, na waszym miejscu nie używałbym jej za często.

— Oczywiście.

— Uchwyt przy toalecie na dole jest zepsuty. Jeśli się go źle pociągnie, woda nie chce lecieć.

— Będziemy o tym pamiętać.

— W podłodze jest dość duża dziura. Rok czy dwa lata temu dostało się przez nią kilka węży.

— W którym pokoju?

— W jadalni. Przykryłem ją beczką. Biskup powiedział, że to wystarczy, dopóki nie znajdę jakiegoś sposobu, żeby ją naprawić. Włożyłem tam jakąś szmatę, ale coś ją wyjadło.

No to przechodzimy do rzeczy, pomyślał.

— Pozbyłem się mrówek, ale nie miałem zbyt dużo szczęścia z myszami. Myszy są mądrzejsze i nie możemy im tego odmówić.

Lepiej, żeby jego żona tego nie wiedziała. Niczego, o czym właśnie usłyszał.

Henry ponownie kopnął oponę, tak na wszelki wypadek.

— Schody na strych — jak je opuścicie, to już ich nie wciągniecie.

Pastor wzruszył ramionami. Wolałby raczej przeżyć kanałowe leczenie zęba bez środków znieczulających, niż stać tutaj przez kolejną minutę.

— Oczywiście wiecie, że w domu Cullenów nie ma elektryczności.

Nie ma elektryczności? Ciśnienie skoczyło mu do góry, czuł pulsowanie w skroniach.

— Co służy do oświetlenia? Pochodnie?

— Jedyne dwa miejsca w okolicy nadal mają oświetlenie gazowe.

Nie mieszkał w tak fatalnych warunkach od czasu, gdy w wieku dziewięciu lat wybrał się na obóz w Mulhaven, gdzie raczył się dubeltową ilością pchły piaskowej i sumaka jadowitego. Co pomyśli Cynthia? W co on ich wpakował? Skręci kark swojemu biskupowi. Stary wariat. Jego tak zwany domek na miesiąc miodowy okazuje się cholernym, walącym się szałasem! Zadzwoni, jak tylko dostaną się na miejsce, i wygarnie Stuartowi Cullenowi, co o nim myśli.

— Nie zostawiałbym na ganku żadnego jedzenia.

Henry wyjął wykałaczkę z kieszeni koszuli i zaczął nią dłubać po całym obwodzie swojego lewego zęba trzonowego.

— A to dlaczego?

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zostawił jedzenie na ganku. Po co ktokolwiek miałby zostawiać jedzenie na ganku?

— Niedźwiedzie.

— Niedźwiedzie?

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swoją żonę, która stała z panią Oldman przy rabacie kwiatowej. Dzięki Bogu, że nie słyszała ostatniego stwierdzenia.

— Cóż! — zawołał pastor, kończąc w ten sposób prawdziwą Niagarę złych wiadomości. — Zobaczmy się, gdy odprowadzimy samochód.

— Zobaczycie mnie jutro — zawyrokował Henry. — Biskup dzwonił dzisiaj i poprosił mnie, żebym sprawdził wodę i zobaczył, czy nie ma w niej mułu. Tato biskupa próbował wykopać nową studnię, zanim odszedł, ale...

Henry uniósł obydwie dłonie, jakby nie ponosił odpowiedzialności za fiasko tej misji. Było to jakieś gorzkie przeznaczenie, nad którym nie miał żadnej kontroli.

— Biskup mówił, żeby zawieźć wam pstrąga. Wiecie, jak oprawić pstrąga?

— Ach — rzucił, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Nigdy nie oprawił pstrąga.

Henry uniósł do góry brew.

— Poproszę panią Oldman, żeby to zrobiła.

Nie mógł się już doczekać, kiedy wsiądzie do samochodu, chociażby tylko po to, żeby usiąść.

To były cudowne dni...

Wyszedł na ganek, z przyjemnością czując pod bosymi stopami stare drewno, gładkie jak jedwab po wielu latach używania.

Widok zaparł mu dech w piersiach. Mgła wczesnego poranka snuła się nad platynowym jeziorem, a tam, nieomal na środku, znajdowała się mała wysepka z chatką na jej wąskim brzegu...

Nie poruszało się nic oprócz ptactwa wodnego. Zauważył kaczkę ze sznurem młodych, z determinacją przecinających taflę wody. Obok domu jemioluszki nurkowały i pikowały nad usianym ziarnem ogrodem.

Z pewnością potrwa trochę, zanim się przyzwyczai, ale z każdą mijającą chwilą to miejsce podobało mu się coraz bardziej.

Odetchnął głęboko, wciągnął brzuch i zatoczył kółka ramionami jak śmigłem helikoptera — przepełniony poczuciem szczęścia, pełnego zadowolenia — w geście energicznego lenistwa, jeśli coś takiego w ogóle istnieje.

Mimo że spali w jego domu pierwszej nocy i w jej domu — drugiej, dopiero ostatnia noc w jakiś sposób była prawdziwym początkiem.

U niego w domu jego przedpotopowy materac sprawił, że stoczyli się na środek łóżka i leżeli tam jak parówki w hot dogu. W jej domu sytuacja uległa znacznej poprawie, chociaż budzik, dziwne, zadzwonił o trzeciej nad ranem. Co jeszcze dziwniejsze, zegarek nie znajdował się na swoim zwykłym miejscu, na jej stoliku nocnym. Ponieważ nie udało im się włączyć lampy, rzucili się, by znaleźć tę cholerną rzecz, i mając za przewodnika jedynie światło księżycy, wpadli na siebie pod biblioteczką.

Ale ostatnia noc była wszystkim, wszystkim i jeszcze czymś.

Zgiął dłonie, przysunął je do twarzy i poczuł jej ciepły zapach, teraz i na zawsze połączony z jego własnym. Szczerze mówiąc, znalazł się w krainie, która nie miała wiele wspólnego z powszechnie pojmowanym rozumem, a wszystko z mocą i tajemnicą, które nigdy nie wydawały mu się możliwe. Być może po raz pierwszy w życiu niczego nie pragnął posiadać, niczego mu nie brakowało; czekał jedynie, aż zaparzy się kawa.

Przywiózł kawę w walizce, w rezultacie czego bielizna pachniała kawą bezkofeinową Antigua, a jego skarpetki — pełną French Roast. Pragnąc rozpocząć ich miesiąc miodowy od gestu troski, jeśli nie całkowitego poddaństwa; poszedł do kuchni, żeby przyrządzić kawę, po której nastąpi śniadanie złożone z... Otworzył szafki i sprawdził zapasy... z otrębów z rodzynkami w błękitnych cynowych miseczkach.

Zawsze unikał kuchenek gazowych. Podczas gdy powszechnie było wiadomo, że kucharze preferują gotowanie na gazie, on zawsze się obawiał, że gaz mógłby wysadzić go w powietrze. Ta niebezpieczna rzecz... czuł ją tutaj dużo silniej niż w pozostałej części domu. Gdyby zapalił zapałkę, mogliby spędzać swój miesiąc miodowy w Quebecu...

Ale chwileczkę, na litość boską, czyż nie należały mu się jakieś nowe wrażenia w tym niewiarygodnie pięknym, tak obiecującym dniu? Czyż to wszystko nie było przygodą, nowym początkiem?

Wyciągnął kuchenną zapalną z pudełka i przyjrzał się jej uważnie, a następnie podszedł do lodówki na gaz i wyjął kawę. Teraz. Gdzież może się ukrywać dzbanek na kawę?

Aha. Jest chyba na półce nad kuchenką. Z drugiej jednak strony, na pewno nie. Ściągnął go i przyjrzał się mu uważnie. Biwaki. Wiele biwaków. Podniósł wieczko. Ach, tak, dokładnie taki, jakiego używała kiedyś jego mama, jest nawet koszyczek na bolcu...

Myśląc, że powinien spróbować umyć dzbanek, wyjął koszyczek i zajrzał do środka. Straszne! Wypłukał go pod cieniutką struzką wody. To będzie musiało wystarczyć; nie jest to przecież kuchnia wojskowa.

Napełnił koszyczek z pewną satysfakcją wdzięczny, że przywiózł kawę mieloną, bo w przeciwnym razie musieliby gryźć ziarenka...

Pojawiła się jego żona, potargana i przypominająca nastolatkę w swojej koszuli nocnej. Otoczyła go ramionami w pasie i pocałowała.

— Kocham biwakową kawę!

Płaską dłonią uderzył w wieczko, które — kiedyś okrągłe — z upływem czasu stało się owalne.

— Czego ty nie kochasz, Kavanagh?

— Kaczek, które krzyczą przez całą noc, łóżek ze skrzypiącymi sprężynami i poduszek z pierza, z małymi kłującymi guzkami w środku.

— Myślę dokładnie tak jak ty!

Uśmiechnął się do swojej żony, postawił dzbanek na kuchence i zapalił zapalną.

— Odsuń się! — ostrzegł ją.

— To nie kaczki krzyczały ostatniej nocy.

Huścili się na bujanych fotelach na ganku, ramię w ramię. W całym swoim życiu nie czuł się tak odległy od swojego powołania.

— To nury!

— Nury! — odparła z niedowierzaniem.

Cisza, która nastąpiła, przerywana była śpiewem ptaków.

— Są spokrewnione z alkami.

— Kto, najdroższy? Cullenowie?

— Nury.

— Oczywiście.

— Łączą się w pary, by wychować młode.

— Cudownie! Dokładnie jak my.

Obserwowali, jak przemieszcza się jeszcze jedna rodzina kaczek. Mieli wrażenie, że zobaczyli bieleńca, naliczyli trzy zimorodki i wypili drugą filiżankę kawy.

Rozkoszował się błogim spokojem i ciszą tego ranka; miał w sobie bogactwo, którym należało się delectować. Z pewnością spotkało go niewypowiedziane błogosławieństwo, że posiadał wyjątkowo elo-

kwentną żonę, która potrafiła również milczeć. Zawsze cenił tę cechę u kobiety, u mężczyzny, u przyjaciela. Chociaż jego mama była olśniewająca w kontaktach z innymi ludźmi, błyskotliwa i umiała prowadzić interesującą rozmowę na każdy temat, posiadała również delikatny spokój, który sprawiał, że jej towarzystwo było tak przyjemne.

— Bóg łaskawie pomaga mi zapomnieć to straszne przeżycie, jakim było dostanie się tutaj — oceniła Cynthia ich wczorajszą podróż.

— Masz na myśli to czterogodzinne opóźnienie spowodowane względami technicznymi, dwugodzinne oczekiwanie na połączenie i czterdzieści pięć minut na pasie startowym w dusznym samolocie?

— No właśnie! — wykrzyknęła.

— Nic nowego! — dorzucił.

Zastanawiał się, co w tej chwili może robić jego pies. A co z jego chłopcem — jak sobie radzi? Zadzwoń do domu dzisiaj wieczorem. Raczej może zapomnieć o dzwonieniu do kogokolwiek. Jego biskup wygodnie zapomniał mu powiedzieć, że w letniej rezydencji Cullenów nie ma telefonu.

— Uwielbiam to miejsce, Timothy. Jest takie cudownie proste.

— Co chciałabyś dzisiaj robić?

— Nic!

Był zachwycony taką odpowiedzią.

— Oczywiście — dodała — moglibyśmy zajrzeć do miasteczka i rzucić okiem na sklepy.

Jakże niechętnie musiał wyznać jej prawdę.

— Hm...

— Nie ma sklepów! — zawołała, czytając mu w myślach.

— Zgadza się. Jedynie stacja benzynowa, mały sklep spożywczy z pocztą i pusty kościół.

— W takim razie będziemy mogli pochodzić po cmentarzu. Kocham cmentarze!

Uśmiechnął się.

— Oczywiście, że kochasz cmentarze. Ale nie wydaje mi się, żeby przy tym konkretnym kościele był cmentarz. Stuart wspominał, że wierni byli grzebani gdzie indziej.

Oparła się wygodnie w fotelu, obróciła głowę i spojrzała mu w oczy, uśmiechając się.

— W takim razie... — szepnęła.

Ujął jej dłoń i pocałował lekko koniuszki jej palców.

— W takim razie... — odparł.

Henry przyszedł w środę ze świeżym pstrągiem i ciastem z jeżynami upieczonym przez panią Oldman, a w czwartek z kurczakiem z farmy, litrową puszką fasoli szparagowej, workiem buraków i ziemniaków oraz będącym prawdziwym błogosławieństwem kawałkiem masła domowego wyrobu.

Prawdę powiedziawszy, rozkoszowali się smakiem niezapomnianych posiłków przy nakrytym ceratą stole na ganku, oświetlonym wieczorem lampą naftową. Jeden wieczór był tak ostry i chłodny, że lepiej było usiąść przy kominku. Wciągnęli do środka stół i jedli kolację przy palenisku, smakując pożywny wy-

war z warzyw, maczając w miskach kawałki chleba upieczonego na ogniu i posmarowane masłem pani Oldman. Każde danie, które przygotowali, było takim olśniewającym sukcesem, że obawiał się teraz powrotu do domu, do czterech żalonych elektrycznych palników, mimo że na kuchence z nieco młodszego rocznika.

W ciągu czterech dni od przyjazdu najchętniej przebywali na ganku, podziwiając olśniewające zachody słońca. Ich wycieczki poza ganek były nieliczne — spacer wokół jeziora dwa razy i wyprawa kajakiem na wyspę. Ponieważ nie byli szczególnymi miłośnikami wody, ich wyprawa na wyspę wymagała pewnej odwagi. Chatka okazała się pusta, więc urządzili sobie piknik pod jodłą, na wytartym indiańskim kocu i gdy wyruszyli do domu, doszli do wniosku, że przeprawa na wyspę tak bardzo dodała im wiary we własne siły, że postanowili popłynąć parę kilometrów na północ. W rezultacie przemoczył ich ulewny deszcz.

Wczoraj wspięli się przez okno do jeszcze jednego domu w letniej posiadłości Cullenów. Siedząc na podłodze pokoju zbudowanego w 1917 roku (według daty wyciętej na krokwi), pili herbatę Earl Grey z termosu i opowiadali sobie wszystkie dowcipy, jakie pamiętali z dzieciństwa.

Ponieważ szło im tak dobrze, Cynthia zaproponowała, że powinni ciągnąć słomki, żeby wylosować, kto ma zabawić drugą osobę poprzez odtworzenie dowcipu wujaszka Billy'ego z przyjęcia ślubnego.

Pastor nie był zadowolony z wyciągnięcia krótkiej słomki. Przecież jedynie wujaszek Billy mógł opowiedzieć dowcip wujaszka Billy'ego. Oddał jej słomkę.

— Przykro mi — stwierdził — ale tego dowcipu nie można opowiedzieć bez laski.

Wstała i podeszła do paleniska, otrzepała o palenisko miotłę i podała mu ją.

— Czy nie ma balsamu...? — westchnął.

— Ani trochę! — odparła.

Wykorzystując palenisko jako scenę i miotłę jako laskę, przygarbił się trochę i oparł dłoń na krzyżach po prawej stronie. Przez chwilę wydawało mu się, że naprawdę czuje artretyczny ból.

— Cóż, drodzy państwo, dwóch gości pracowało razem. Pierwszy był szczęśliwy i wesoły, a drugi nie miał nic do powiedzenia, wyglądało na to, że był wściekły. Pierwszy pyta: „Ugryzła cię osa?” A drugi na to: „Ależ nie, jeszcze spała, gdy wychodziłem”.

Wiwaty, okrzyki radości, ogólna wesołość.

— To była tylko rozgrzewka, to nie jest mój główny dowcip.

Widownia usiadła wygodnie i przyglądała mu się z ogromną uwagą.

— No cóż, drodzy państwo, stary Adam kręcił się po rajach, czując się samotny. Więc Pan go zapytał: „Adamie, co cię trapi?” Adam odpowiedział, że nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. No cóż, drodzy państwo, Pan powiedział, że stworzy kogoś, kto będzie mógł dotrzymać mu towarzystwa, powiedział, że to będzie kobieta, powiedział: „Ta kobieta będzie ci przyrządzać jedzenie i gotować dla ciebie, a gdy zaczniesz nosić ubrania, będzie je prać, a gdy podejmiesz decyzję w jakiejś sprawie, ona się z tobą zgodzi”. Powiedział, „Nie będzie ci robić wymówek, ani w ogóle męczyć, a gdy się pokłócicie, przytuli cię mocno i

powie, że od początku miałaś rację". Stary Adam tylko się nad tym zastanawiał. Pan mówił dalej: „Nigdy nie będzie się skarżyła na ból głowy i da ci miłość i namiętność, gdy tylko zechcesz, a gdy będziecie mieć małe dzieci, nie będzie cię prosiła, żebyś wstawał w środku nocy. Oczywiście Adama zrobiły się naprawdę duże i zapytał: „A ile taka kobieta będzie mnie kosztować?” Pan odparł: „Będziesz musiał dać sobie obciążenie rękę!” Adam myślał przez dłuższą chwilę i w końcu zapytał: „A jak myślisz, Panie, co mógłbym dostać za żebro?”

Rzęsiste brawa, zakończone gwizdem jego żony, którego nauczyła się jako dziesięcioletni gracz w kulki.

Wydstając się na zewnątrz tą samą drogą, którą przyszli, opuścili chatkę przed zmierzchem i wyruszyli w stronę domu zarośniętą ścieżką.

W czasie tych wycieczek uważnie wyglądał niedźwiedzia i pozostawał czujny, żeby obronić swoją żonę, chociaż nie widział niczego bardziej podejrzanego niż szop prac usiłujący ukraść kości z kurczaka, którego jedli w środe.

Dzisiaj Cynthia wyniosła swój szkicownik i ołówki i zrezygnowała z wszelkich pomysłów, żeby opuścić ganek. Twierdziła z przekonaniem, że widziała łosia pływającego w jeziorze i nie chciała stracić kolejnej okazji, żeby go zobaczyć. On tymczasem leżał w sfatygowanym hamaku i czytał G.K. Chestertona.

Spokój spowijał ich jak szal; nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej przeżył taki długi okres swobody. Przychodziły jednak chwile, gdy poczucie winy chwytало go za kark i usiłowało go przekonać, że to prezent, którego nie ma prawa rozpakować i się nim cieszyć, i lepiej żeby był ostrożny, bo w przeciwnym razie...

— Posłuchaj — rzucił. — „Przygoda to zaledwie niedogodność właściwie pojęta. Niedogodność to zaledwie przygoda źle pojęta”.

Roześmiała się.

— Nie wiedziałam, że G.K. był w rezydencji letniej Cullenów.

— I to: „Ideał chrześcijaństwa nie został wypróbowany i uznany za niepełny. Został uznany za trudny i pozostawiony bez próby”. Czyż to nie trafia w sedno sprawy?! — nieomal krzyknął.

— Uwielbiam, gdy taki jesteś — zauważyła.

— Jaki?

— Szczęśliwy... wypoczęty... swobodny. Bez wieczornych wiadomości, bez telefonów, bez tych wszystkich ludzi, z których każdy ciągnie cię w swoją stronę.

— Stuart wiedział, co robi, mimo wszystko.

— Nabrałam wielkiego szacunku dla twojego biskupa — stwierdziła.

Nur krzyknął, ważka zanurkowała nad poręczą ganku.

— Słyszałam coś w naszej sypialni dzisiaj w nocy — powiedziała. — Coś przebiegło po podłodze. Jak myślisz, co to było?

— Ach, nie wiem... może wiewiórka?

No proszę, oto najlepszy dowód, że jego mózg nadal funkcjonuje.

— Uwielbiam wiewiórki!

Położył Chestertona na podłodze obok hamaka i leżał oszołomiony, rozmarzony, spełniony.

— „Pan niech będzie przez wszystkie dni błogosławiony...” — wyszeptał.

— „...ciężary nasze dźwiga Bóg, zbawienie nasze!” — wykrzyknęła, kończąc werset z psalmu sześćdziesiątego ósmego.

Żona, która potrafi czytać mu w myślach i kończyć wersety z Pisma Świętego. Zdziwiająca...

Gdy obudził się, słyszał jedynie delikatny szelest ołówka mknącego po kartce papieru.

— Najdroższy, czy mógłbyś skoczyć dla nas po zakupy?

— Tym samochodem nigdzie nie da się skoczyć — odparł.

— Tak, ale nie możemy tak żyć, jak u Pana Boga za piecem, z Henrym jako naszym głównym dostawcą. Musimy mieć zapasy.

— Przypuszczam, że warto zadbać o to, żeby nie rozładował się akumulator.

— Ćwierć litra dwuprocentowego mleka — zaczęła wyliczać, nie podnosząc wzroku znad szkicownika — razowe bułeczki, brązowe jajka, cebula — nie jesteśmy w stanie przyrządzić kolejnego posiłku bez cebuli — i trzy cytryny...

— Poczekaj!

Podniósł się, zszedł ze skrzypiącego hamaka i poszedł do domu po kartkę i pióro.

Uniosła szkic i spojrzała na niego przymrużonymi oczami.

— Ach, i trochę winogron! — zawołała za nim. — I bekon! Czyż nie byłoby cudownie poczuć rano zapach smażonego bekonu? Bardzo lubię owsiankę z rodzynkami, Timothy, ale naprawdę...

Mimo że temperatura tego późnego popołudnia wydawała się jak na tę porę roku bardzo wysoka, gdy wszedł do pogrążonego w półmroku sklepu, ogarnął go ożywczy chłód.

Mężczyzna w zielonym fartuchu wysypywał ziemniaki z worka do kubła; podniósł wzrok i skinął głową.

Pastor również skinął głową, zastanawiając się nad dziwnym poczuciem wolności, które mu towarzyszyło, spowodowanym brakiem obowiązków, i jeszcze bardziej nad nieodpartym pragnieniem, żeby jak najszybciej wrócić do żony. Rozstali się przecież po raz pierwszy od ślubu; czuł się... pusty, jakby opuszczony. Być może to sześćdziesiąt lat, przez które — zupełnie o tym nie wiedząc — jego dusza czekała na tę nie dającą się opisać radość, i nie chciał teraz stracić ani chwili. Z drugiej strony, jego radość mogła wcale nie wynikać z tego, że czekał, a zawdzięczać wszystko miłości, i tylko miłości.

Nie rozumiał tych spraw, być może nigdy ich nie zrozumie; wszystko, co wiedział i rozumiał, to, że pragnie nią oddychać, czuć ją pod skórą — boskie pojęcie „jednego ciała” nagle nabrało zupełnie nowego, żywego wymiaru, było pokarmem, nektarem; ich miłość wydawała się jakby nadzieją świata...

Wybrał foliowany naturalny bekon. To był spacer po linie, bez dwu zdań.

Być może jednak, spoglądając wstecz, jeszcze większe szczęście dało mu to drugie czekanie, chwile, gdy pokusa, aby mieć wszystko, wydawała się nieomal nieodparta, ale oni jednak się przed tym cofnęli, posłuszni Bożej mądrości w ich życiu. To odsunięcie było dla niego wstrząsem, tak, i dla niej też, ponieważ miłość obnażyła ich pożądanie w sposób, którego nigdy wcześniej nie znali. Mimo to Jego łaska sprawiła, że potrafili czekać, skoncentrować się na zbliżającej się uczcie, a nie na obecnym głodzie.

Postawił koszyk na ladzie.

— Mieszkacie nad jeziorem? — zapytał mężczyzna.

— Tak.

— Wygląda na to, że czeka was piękny zachód słońca dzisiaj wieczorem.

Wyjrzał przez okno w sklepie na niebo na wysokości drzew. Na litość! Jeśli się pośpieszy, może zdąży do domu na czas...

— Coś jeszcze mogę panu podać?

— Nie, to wystarczy.

— Jest pan pewien?

Gdy wyciągał portfel, zdał sobie sprawę, że nie może przestać się uśmiechać.

— Dziękuję panu, to wszystko — odparł. — Mam absolutnie wszystko.